MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK X. Nr. 30. WARSZAWA, 27 LIPCA 1930 R. CENA NUMERU 80 GR.

KOMASACJA

„WSZYSTKO przejdzie! Po huku, po szumie, po trudzie, wezmą dziedzictwo mali, cisi, ciemni ludzie!...“ Jakże często w Polsce lat ostatnich nasuwały się nam te dziwnie jasnowidzące słowa Mickiewicza. Pogrążyliśmy się w niepokojącej ciszy myśli. Gdzieś się nam podziały wielkie napięcia gniewu i nadziei, ktoremi żyliśmy przed wojną, podczas wojny i jeszcze parę lat po wojnie. Jakoś się zatarły wielkie, wyraźne sprzeczności idej i obozów, które jeszcze w latach pierwszego sejmu ożywiały społeczeństwo. Lata ostatnie, to czas rozproszenia, rozdzierającego najintymniejsze węźliska woli, to rojowisko dążeń na wskróś niewyrazistych, bez żadnego rozmachu. Jak u neurastanika, tak też i w społeczeństwie, po okresie pobudliwości zbyt żywej, ale nietrwałej przychodzi zupełne otępienie, które już nie śmie ważyć się na żadną nadzieję. O co właściwie walczyć całą duszą, po czyjej stronie opowiedzieć się całem jestestwem — nikomu już niewiadomo.

Bo przypatrzmyż się naszym obozom ideowym: Niema bodajże żadnego, któryby jednoczył w swem łonie całych ludzi i wszystkich ludzi podobnych. Nasze polityczne sympatje i przynależności są bardzo często zgoła przypadkowe. W Polskę niepodległą weszliśmy podzieleni na dwa obozy. Ale po jednej i po drugiej stronie zebrali się ludzie, którzy poza sprawą ustosunkowania się do zagadnień wojny, w innych kwestjach głęboko się między sobą różnili. Teraz, normalnie rzecz biorąc, powinno było w obliczu nowych treści społecznych nastąpić rozszykowanie się dawnych, uszykowanie się jakichś nowych szeregów ideowych — a to na podstawie różnych społeczno - politycznych myśli. Niestety jednak w życie polskie weszła pewna głęboko niepotrzebna rzecz, rzecz w wysokiem stopniu utrudniająca normalny podział polityczny społeczeństwa: Oto pojawia się w życiu naszem grupa na wskroś anachroniczna, jakby falą dziejowego *ritorno* wyniesiona. Z powrotem jakaś „banda albeńska“, czy tam inna jaka „familja“ zuchwałego panoszy, grupa zgoła nie polityczna w nowoczesnem słowa tego znaczeniu, ale czysto socjologiczna, grupa o pretensjach i instynktach najezdniczych, związana nie stosunkiem do jakiejś wspólnej myśli, ale stosunkiem do pewnej osoby, grupa, która walką o władzę dla samejże władzy i o utrzymanie się przy władzy wypełniła wszystkie pierwsze lata odrodzonego państwa.

Pominąwszy dni mocno obciążone hypoteką moralną, pominąwszy nawet zbrodnicze wyjałowianie społeczeństwa z energij chcących pracować, — ta jest najistotniejsza wina ludzi z 6.VIII. 1914 i 12.V. 1926: Nie wniósłszy sami żadnego wspólnego oblicza politycznego, wyrażającego przemyślany stosunek do całokształtu narodowego życia, — zdołali przecież społeczeństwo gruntownie dyssekować po linjach podziału niepotrzebnego, podziału nie mającego nic wspólnego z istotną polityczną jego strukturą, zdołali społeczeństwo podzielić głęboko, nie wedle stosunku do myśli, lecz według stosunku do osoby, i to osoby, której twarz polityczna, polityczna w nowożytnem tego słowa znaczeniu, jest conajmniej niewyraźna.

I oto stanęły naprzeciw siebie dwa zbiorowiska, oba zarówno niestrojne, nieskładne. Z jednej strony „sanacja“, gdzie mieszczą się przykładnie militarysta z pacyfistą, komendant stolicy z autorem buntowniczych wierszydeł, radykał z Kołomyji z litewskim „dziedzicem wzniosłych tradycyj“, sielankowy demokrata w typie „Kurjera Wileńskiego“ z buńczucznym monarchistą ze „Słowa“, mason z sutanną, żyd z chłopem, ale i po drugiej stronie w obozie opozycji różnica pod każdym względem, różnica w całej postawie wobec świata, w polityce gospodarczej, ustrojowej, zewnętrznej, religijnej, wychowawczej wobec narodowych mniejszości.

I to właśnie jest fatalne. Bo dopóki tak jest, dopóty nie może być w Polsce sporu, któryby naprawdę ożywił intelekty, naprawdę wstrząsnął uczuciami, napiął wolę, albowiem wszyscy, którzyby się mogli zejść w sprawach polityki ustro-

jowej, gospodarczej, religijnej i t. d. i połączyć we wspólnych pomyśleniach, pragnieniach, działaniach, ci wszyscy są rozdzieleni, rozdwojeni tym fatalnym, niepotrzebnym, ideowo nieproduktywnym stosunkiem do Piłsudczyzny, każdy więc głos myśli twórczej jest bezsilny, bezdźwięcznie zanika w zagmatowanym labiryncie społeczeństwa, dzielącego się partyjnie nie według sensu, ale według nonsensu, — rozbitego na sieczkę. Wszystkiego mamy w Polsce po dwoje conajmniej: dwa konserwatyzmy, dwa socjalizmy, dwa radykalizmy, dwa klerykalizmy, bodajże nawet dwa nacjonalizmy!... Wszyscy ze wszystkimi — stąd wszyscy przeciw wszystkim.

W ten oto sposób uczyniła się w Polsce ta atmosfera duszna, anemiczna, jakby beznadziejna, ta cisza myśli, w której żaden pomysł głębszy, koncepcja śmielsza nie znajduje echa społecznego, ta cisza, która nie jest brzemienna w żadne pożyteczne przełomy, cisza minoderji, dezorentacji, depresji. Jest w Polsce jakaś siła, napewno jest, ale ta siła jest rozproszona po przeciwnych sobie obozach, jest więc siła bez programu, programy — bezsilne.

Nastąpiło zatem polityczne zobojętnienie społeczeństwa. Gdziekolwiek zbiorą się ludzie do rozmowy, tam albo się o polityce nie mówi, albo też powstają odrazu dwie strony, które spierają się nie o myśli, lecz o osoby, z coraz większem jednak zniechęceniem mieląc jedno nazwisko, lub też parę nazwisk. Plotka, anegdota, inwektywa, blady uśmiech ostatecznego znudzenia, zastąpiły rzeczową polemikę, wygnały rumieniec zapału w obronie przekonań. A wraz z apatją polityczną więdną liczne zainteresowania umysłowe. Gdy się nadwątli polityczny typ duchowy, ubożeje odrazu myśl, myśl, która przecież żyje i rośnie poczuciem obywatelskiem odpowiedzialności za całokształt społecznego życia. Gdy zaś myśl nie ma pohopu do zmagań się, to i uczucia bledną, anemizują się temperamenty, w bezkształcie celów gubią się i usypiają wole.

Co tu robić?... Czy te lata mają mijać tak martwo?... A przecież lata te, to lata względnego bezpieczeństwa Polski. Mogą przyjść czasy surowe, w które wejść trzeba będzie z wiarą, że nasze polskie życie, to życie, którego bronić warto, że to jest życie naprawdę żywe, zajmujące, że dzieją się w niem rzeczy cyliwizacyjnie ważne, moralnie doniosłe. Po stokroć więc zdrowsza, niż ta obecna cisza myśli, a przeto bezpieczniejsza dla narodu będzie atmosfera choćby zawziętych polemik, ale polemik o przekonania, przekonania wzruszające całe jestestwa ludzkie, wyzwalające serca ze ślimaczej ostrożności, poruszające w ludziach wszystkie ich możliwości energetyczne. Narodowego bytu dzielnej broni społeczeństwo wytrenowane we wszechstronnem życiu publicznem, niźli mali, cisi, ciemni ludzie, zniechęceni do spraw zbiorowych, obojętni na wszystko, co nie osobiste, zastraszeni i zwątpiali.

Pierwszym więc postulatem dla tych wszystkich, co bez względu na wszelakie inne, głęboko nawet sięgające sprzeczności, chcę jednak przywrócić ogółowi naszemu polityczny typ duchowy, co pragną Polski — nie ciskającej się drgawkowo w sporach osobistych, zamiarach błahych i bez tchu, walkach małodusznych i podstępnych, ale tęgiej silnie pulsującem życiem stronnictw ideowych, wyrażających rozmaite potrzeby społeczne, rzeczywiste i trwałe — postulatem dla tych wszystkich pierwszym, musi być to jedno: Zniwelowanie terenu pod zawody idej, usunięcie sztandarów osób, wystawienie sztandarów myśli. Taki a nie inny musi być wstęp do ożywienia życia naszego.

I z tego właśnie punktu widzenia oceniać należy takie fakty, jak zgrupowanie się „centrolewu“, jak niedawny jego krakowski kongres. Powiadają na wszystkie strony sceptycy różnego pokroju: „Przypuśćmy, że przeciwnicy „sanacji“ zwyciężą, ale co będzie po zwycięstwie? Jak się pogodzą poszczególne składniki „centrolewu“, tak różnorakie, tak sprzeczne?... Dodajcie jeszcze „endecję“... Będziecie mieli nowy chaos, nowe walki“!...

Oczywiście: Nowe walki. Ale nie chaos. Na drugi dzień po zwycięstwie zagrają nowe pobudki, ustawią się nowe szyki. Nastąpią radykalne przegrupowania. Ludzie poznajdują się w szeregach, częstokroć za pan-brat z dawnym przeciwnikiem, po przeciwnej dojrzawszy stronie dawnego komilitona. Ale to będą już szeregi, ustawione według istotnych, naturalnych tendencyj społeczno-politycznych, łączące ludzi całych i wszystkich ludzi podobnych. To będą te uszykowania ludziom naprawdę potrzebne, któreby się były już dawno ustawiły, gdyby nie Piłsudczyzna, owa rzecz niepotrzebna, ów patologiczny, anachroniczny element polskiej współczesności. Piłsudczycy bezinteresowni — i wam będzie wygodniej!

KAROL LUDWIK KONIŃSKI

PIELGRZYMSTWO NAUKOWE POLSKIE DO RZYMU

(XVI — XVIII w.)

ŹRÓDEŁ „życia i prawdy“—światła wiary i wiedzy — poszukiwali przodkowie nasi przez szereg wieków w różnych krajach Europy, najsilniej wszakże pociągały ich te, któremi w swoim czasie słynęła Italja.

Nauka nasza nie zdobyła się dotychczas na pełny obraz stosunków kulturalnych polsko-włoskich, — można jednak żywić nadzieję, że wkrótce to nastąpi, bo oto do dawniejszych cennych badań, dotyczących głównie pielgrzymstwa naszego naukowego do Padwy (K. Morawski, St. Windakiewicz), przybywają badania, zainicjowane przez prof. Stanisława Kota między innemi, uwzględniające uczelnie Bolonji, Ferrary, Pawji, a ostatnio dr. Maciej Loret, w książce „Życie Polskie w Rzymie w XVIII wieku“[1]) położył nacisk na wieczne

[1]) Str. 384 z 34 ilustracjami. Książka ta daje o wiele więcej, niż zapowiada w tytule, obejmuje bowiem nie jeden wiek XVIII, lecz prawie dwa wieki zgórą (połowę XVI, XVII i XVIII). Przedstawia tu autor w odrębnych rozdziałach „Dzieje środowiska narodowego w Rzymie“ (Hospicjum św. Stanisława etc.), dzieje „Dyplomacji“, „Pielgrzymstwa naukowego“, „Pielgrzymstwa i podróżnictwa“, wreszcie „Sztuki“. Wszystko to daje całokształt życia naszego w Rzymie w okresie paru wieków. Książka Loreta, będąca owocem samodzielnych badań, wnosi dużo nowego w dzieje stosunków Polski z Italją. W niniejszym artykule zajmujemy się tylko naszem pielgrzymstwem naukowem.

miasto, jako na jedno z głównych ognisk naukowych, dokąd przez parę wieków udawali się Polacy na studja.

Badania Loreta, dotyczące Rzymu, prowadzą do wielu niezmiernie ciekawych i ważnych wniosków. Rola Padwy w dziejach umysłowości naszej znana jest szerokiemu ogółowi, o tem jednak, że obok Padwy podobną, a poniekąd głębszą rolę, gdy chodzi o wpływ naukowy na Polskę, odgrywał Rzym, dowie on się dopiero z książki Loreta.

Z materjałów archiwalnych, zebranych i zbadanych przez autora, okazuje się, że Rzym niemal narówni z Padwą jest już w drugiej połowie XVI-go wieku celem polskiego pielgrzymstwa naukowego, pod koniec natomiast tego stulecia bierze nad nią górę. Dzieje się to naprzód wskutek tego, że Kościół Polski, odczuwając w XVI w potrzebę podniesienia stanu umysłowego kleru, wobec braku seminarjów do kształcenia duchownych, i nie mogąc doczekać się żądanej reformy Akademji Krakowskiej, sam śle swoich wybranych stypendystów na studja zagraniczne, przedewszystkiem do Rzymu, gdzie naukę teologji można było połączyć z nauką prawa. Działały tu również i względy praktyczne, życiowe, gdy bowiem chodziło o studja prawne w Rzymie, obok wykształcenia teoretycznego w tamtejszym uniwersytecie, można było nabrać praktyki prawa w Trybunale Roty, a przytem zawrzeć znajomości w Kurji itp., które ułatwiały przyszłą karjerę.

Do napływu młodzieży polskiej do Rzymu przyczynił się również fakt powstania w r. 1578 Hospicjum św. Stanisława, gdzie przybywający na studja znajdowali oparcie; tu także młodzież nasza miała od połowy XVI w. jedną z pierwszych swych organizacyj, mianowicie arcybractwo św. Tryfona; tu następnie mogła korzystać z pomocy powstałych fundacyj (ks. Jana Preka, biskupa Zadzika i t. p.), ułatwiających pielgrzymstwo naukowe.

Wszystko to zadecyduje, iż u nas z końcem XVI wieku zaczęto dawać pierwszeństwo Rzymowi przed Padwą.

Rzym posiadał dwie wyższe uczelnie: uniwersytet, t. zw. *„Sapienza"*, i rywalizujące z nim Kolegjum rzymskie (*„Collegium Romanum"* założone przez Jezuitów w 1651 r.). *„Sapienza"* miała tę wyższość, że była pełnym uniwersytetem, Kolegjum natomiast wyróżniało się głównie swem studjum teologji.

Istniały prócz tego w Rzymie prywatne szkoły prawa, gdzie wykładali profesorowie z *„Sapienzy"*, do których także garnęła się młodzież wówczas, gdy z tych lub innych powodów w uniwersytecie zaniedbywano nauki prawne.

Na podstawie akt uniwersyteckich (matrykuły studenckie, księgi doktorów i t. p.), przechowywanych w rzymskiem Archiwum państwowem, podaje autor imienny wykaz Polaków, którzy uzyskali stopień doktorów, a także ogólną liczbę młodzieży polskiej, kształcącej się w Rzymie od połowy XVI do końca XVIII wieku.

Podług obliczeń autora, w drugiej połowie XVI w., doktoryzowało się w uniwersytecie rzymskim 20 Polaków, podczas gdy w Padwie w ciągu całego wieku kształciło się około tysiąca Polaków, w Rzymie natomiast, licząc ostrożnie, uczyło się w *„Sapienzy"* na prawie przynajmniej 300 — 400. Liczby teologów, którzy uczyli się przeważnie w *„Collegium Romanum"*, nie mógł autor dokładnie określić z powodu braku źródeł archiwalnych, przypuszcza wszakże, iż teologów było w ciągu stulecia przynajmniej stu; słowem, że w tym okresie conajmniej pięciuset studentów polskich kształciło się na różnych wydziałach w Rzymie.

Dane powyższe upoważniają do wniosku, że Padwa nie może rościć pretensji do monopolu czy do jakiejś wyłączności wpływów kulturalnych na Polskę, że nie była ona „właściwą szkołą koronną" dla Polski, jak utrzymywano zgodnie ze stanem dotychczasowej wiedzy naszej o tem wszystkiem.

„Padwa, dokąd stosunkowo"—powiada Loret—„najwięcej w XVI w. zbiegała się młodzież polska, miała w tem promieniowaniu kultury włoskiej na Polskę udział znaczny, ale bynajmniej nie przeważny, i jeżeli w XV i w pierwszej połowie XVI wieku dzieli go z Bolonją i Ferrarą, to w drugiej połowie tego stulecia musi go podzielić, jak to stwierdziliśmy, z Rzymem" (str. 149).

Nie dość jednak tego, że w tym czasie zmuszona jest dzielić się z Rzymem wpływem na kulturę polską; niedość, że zachodzą fakty, o których wspominaliśmy wyżej, skierowujące pielgrzymstwo naukowe polskie coraz liczniej ku Rzymowi, ale poza tem jeszcze zaczyna Padwa, z końcem XVI i z początkiem XVII w., tracić cokolwiek w Polsce na tej wyjątkowej opinji, jaką się cieszyła. Świadczą o tem rozmaite głosy współczesnych. Tak np. Rywocki w swoich „Księgach peregrynackich" pisze o Padwie, że w jej „Akademji (t. j. w uniwersytecie) *dissolutio, non studium*", że studenci nie o nauce myślą, ale o awanturach i na lekcjach nie dopuszczają do głosu profesorów, wskutek czego zamożniejsi uciekali się do lekcyj prywatnych. Inny współcześnik, Hieronim Baliński, autor traktatu o wychowaniu (1598 r.), doradzając wysyłanie młodzieży do Włoch, radzi nie Padwę ale Rzym, „bo i nauka tam dobra i *disciplina astrictior* nisz gdzie indzie"—jak powiada; zaznacza przytem, że „w Rzymie każdemu pokoy", podczas kiedy w Padwie, Bolonji i t. p. *„Academiach"* zachodzą niestatki między „szlachtą i studenty", i wszczynają się tego rodzaju „turnieje", gdzie się biją i zabijają.

W istocie tak bywało, w Padwie bowiem rej wodzili studenci, w Rzymie natomiast wobec dworu papieskiego oraz Kurji schodzili oni na dalszy plan. O tem, że wśród spokoju rzymskiego wyniki studjów były owocniejsze, niż w środowisku padewskiem, gdzie używano życia, świadczy choćby ów fakt, iż w Padwie za sto lat doktoryzowało się tylko 12 Polaków, podczas gdy w Rzymie 20 za pół wieku.

W XVII wieku liczba Polaków, kończących tylko samo prawo w Rzymie, ze stopniem doktora, wzrasta znacznie i do r. 1690 obejmuje 181 nazwisk. W XVIII wieku przybywa dalszych 72 doktorów prawa, razem więc doktoryzowało się w Rzymie na prawie od r. 1557 — dwustu siedemdziesięciu trzech Polaków.

Tej cyfrze doktorów odpowiada—podług autora — conajmniej czterokrotnie większa liczba słuchaczy polskich na prawie, którzy uczyli się bez ubiegania się o stopień naukowy. Słowem około tysiąca Polaków, w okresie od 1557 r. do końca XVIII w., kształciło się w uczelniach rzymskich. Z jakich sfer pochodzą, do czego dążą, jaki pożytek miała z ich studjów Rzeczpospolita? Uderza tu między innemi przewaga osób duchownych nad świeckiemi. Wśród doktorów duchownych najwięk-

szy procent pochodzi z Krakowa i z djecezji krakowskiej, co się tłumaczy tem — pomijając tradycyjne związki Krakowa z Włochami—że Akademja, kapituła i biskupi krakowscy dbali zawsze o kontakt z Rzymem i wysyłali tam: uniwersytet swoich uczonych, a biskupi i kapituła kapłanów i alumnów. Zwraca uwagę i to, iż studjują przeważnie prawo, co pochodziło stąd, że dział ten był nietylko najważniejszy ze względu na administrację państwową i kościelną, lecz i dlatego, że zapewniał najszybszą karjerę. Nie wydał Rzym tak sławnych na cały świat imion polskich, jak np. Padwa (Kopernik, Kochanowski, Zamoyski), — wśród doktorów rzymskich spotykamy natomiast wiele nazwisk, które w dziejach Polski, a zwłaszcza kultury polskiej, odegrały bardzo wybitną rolę i stanowią jej chlubę.

Oto jednym z pierwszych, którzy w Rzymie uzyskali doktorat prawa, był Jakób Górski, najgłośniejszy z humanistów polskich XVI wieku. (Górski doktoryzował się w 1566 r., na parę lat przed nim uzyskał doktorat prawa inny wybitny humanista polski: Mikołaj Śmieszkowic Gelasinus, o czem dopiero z książki Loreta dowiedziano się; pierwszym doktorem rzymskim (1557 r.) jest Mikołaj Pasbek, czy Pasek, o którym autor mniema, że może być on przodkiem słynnego pamiętnikarza). Następnie na szczególniejszą uwagę zasługują trzej wybitni prawnicy-teoretycy: ks. Krzysztof Podkański (doktorat z 1591 r.), Jakób z Bodzentyna Janidłowski (1598 r.) i najgłośniejszy z nich, mianowicie Tomasz Drezner (1606 r.). Ich działalność naukowa łączy się ze sprawą kodyfikacji prawa materjalnego i procesowego, z t. zw. korekturą prawa, której w XVI w. domagają się konstytucje sejmowe, a która w XVII stoi także na porządku dziennym i jest przedmiotem dyskusyj sejmowych oraz rozważań prawników, ogłaszających specjalne broszury, podające rady i sposoby poprawienia przepisów prawnych. Do tego zakresu prac należy broszura Podkańskiego p. t. „Wizerunek korrektury prawa ziemskiego koronnego", (Kraków 1607 r., unikat tej broszury znajduje się w bibljotece w Suchej). Janidłowski po powrocie z Rzymu został profesorem prawa w Akademji Krakowskiej i potrzykroć był jej rektorem. Z dzieł jego najważniejszem jest Proces sądowy („*Processus iudiciarius*" etc. z 1606 r.). Drezner, powróciwszy do Polski, był profesorem Akademji w Zamościu i pomocnikiem Zamoyskiego w jej organizowaniu. Jest on autorem między innemi „Przewodu sądowego polskiego" („*Processus iudiciarius Regni Poloniae*" z r. 1602).

Aczkolwiek w XVII w. najwięcej mamy doktorów polskich, promowanych w Rzymie, bo aż 181, tych wszakże nazwisk autor nie podaje, zapowiadając, że to uczyni przy innej sposobności. Przechodzimy przeto do XVIII wieku. Tu wśród kilkudziesięciu doktorów spotykamy nazwiska ks. Jana Lipskiego, kanonika poznańskiego, podkanclerzego za Augusta II, a następnie kardynała za Augusta III; dalej ks. Andrzeja Stanisława Załuskiego, późniejszego biskupa płockiego, kanclerza Augusta III, w końcu biskupa krakowskiego etc., którego działalność na polu kultury narodowej, w charakterze kanclerza Akademji Krakowskiej, dobrze jest znana. Następnie idą: ks. Adam Komorowski, późniejszy prymas i protektor reform Konarskiego, ks. Kajetan Sołtyk, biskup krakowski, ks. Walenty Wężyk, biskup przemyski, a także Ignacy Muszalski, przyszły smutnej pamięci biskup wileński i nielepszej sławy ks. Stanisław Młodziejowski, przyszły biskup poznański i kanclerz. Wreszcie dodać do tych nazwisk trzeba jeszcze Kołłątaja, który kształcił się w Rzymie (1771 — 1775 r.) w teologji, prawie oraz sztukach pięknych; dalej Ignacego Krasickiego i Bohomolca, studjujących teologję w „*Collegio Romano*". Do „*Sapienzy*" uczęszczał wielki reformator wychowania narodowego, Konarski, który także studjował i w pijarskiem Kolegjum nazareńskim. Od powrotu Konarskiego do Polski i niewątpliwie za jego przyczynieniem się — jak utrzymuje autor — zaczynają przybywać Polacy na studja także i do wspomnianego Kolegjum. Wśród nich najwybitniejszym uczniem był twórca Konstytucji 3-go maja — Ignacy Potocki, o którym w aktach Kolegjum pijarskiego czytać można następującą opinję: „Młodzieniec jak największej schludności, pilny, pełen szacunku i wielkiej bojaźni Bożej, dlatego kochany przez wszystkich, w szczególności przez ojców zakonnych etc.". Sam on, później, wspominając Rzym, powiadał o sobie: „Nie mnie wabiły zupełne odpusty, Ani lubieżne młodości rozpusty. Chciałem wyczytać w obalinach miasta, Jak kraj upada, kiedy nadto wzrasta".

Jak widzimy, nasze pielgrzymstwo naukowe do Rzymu poszczycić się może sporą liczbą jednostek, wsławionych później w dziejach narodu, nie mówiąc już o wielkiej ilości nieprzeciętnych pracowników w rozmaitych dziedzinach naszego życia państwowego, szczególniej w ustawodawstwie sejmowem, w sądownictwie Rzeczypospolitej i kościelnem, w administracji, profesurze i t. p.

Udawano się wprawdzie do Rzymu, w większości wypadków, z myślą o przyszłej karjerze, ale też i z myślą o należytem przygotowaniu się do służby obywatelskiej w kraju, a nie brak było i takich, których Rzym pociągał urokiem niepożytego piękna, bogactwem swoich zasobów kulturalnych. Znajdowała młodzież polska w Rzymie warunki, sprzyjające studjom, wiecej statku i spokoju, niż gdzieindziej, a przytem przebywała w środowisku ludzkiem, swojem i obcem, którego powaga oraz obyczaj dostojny oddziaływały dodatnio i odwodziły myśl od płochych zachcianek i wybryków młodości.

O tej atmosferze duchowej, o ludziach, którzy ją wytwarzali w Rzymie, o tych rozmaitych mecenasach i znawcach potrzeb oraz dążeń kulturalnych, o dygnitarzach kościelnych i świeckich, dyplomatach, uczonych i t. p., z którymi młodzież polska stykała się w wiecznem mieście i wpływom ich ulegała, znajdzie czytelnik w książce Loreta sporo rzeczy, faktów ciekawych i przeważnie nieznanych, rzucających żywe światło na stosunki ówczesne Polski ze stolicą św. Piotra.

Interesujące jest zwłaszcza to wszystko, co autor podaje o działalności i roli naszych wybitnych mężów, przebywających na stałe, bądź na czas dłuższy w Rzymie, o takich, jak kardynał Hozjusz i jego dwaj sekretarze oraz współpracownicy—Reszka i Treter, o dyplomacie biskupie Duninie Wolskim, o Józefie Załuskim, Albertrandim, o mało znanym a niepospolitym myślicielu, ks. Ignacym Włodku (autorze pierwszej, wyczerpującej historji nauk p. t. „O naukach wyzwolonych w powszechności i w szczególności", książka wydana w Rzymie w r. 1780) i o w. innych, którzy z pielgrzymstwem naukowem polskiem są związani, byli

jego promotorami i opiekunami, nie mówiąc już o ich własnej działalności kulturalnej.

A mówi o tem wszystkiem autor z taką niechybną znajomością rzeczy, z tak trafnem odczuciem ducha ówczesnego oraz wyrozumieniem sprężyn i pobudek działania ludzi z obu stron—z polskiej i rzymskiej—jak może mówić nietylko gruntowny badacz stosunków kulturalnych i politycznych, istniejących w okresie od XVI do końca XVIII wieku pomiędzy Rzplitą i Rzymem, lecz także jak ktoś zżyty oddawna z tem środowiskiem rzymskiem, rozmiłowany w niem, stojący pod jego niesłabnącym urokiem.

Pisze nadto o tem, jak Polak, stwierdzający z dumą tysiącletni związek swych przodków ze źródłem kultury łacińskiej, wywodzący swój rodowód z jej ducha.

Bo też autora tej pięknej książki o życiu polskiem w Rzymie od XVI-go do końca XVIII-go wieku, można zaliczyć także do istotnych przedstawicieli naszego pielgrzymstwa naukowego do wiecznego miasta.

Wywędrował on do Rzymu parę dziesiątków lat temu, jako jeden z uczestników komisji Akademji Krakowskiej, powołanej do badań w archiwach watykańskich; pozostał w Rzymie w okresie wielkiej wojny, reprezentował interesy Polski, następnie należał do dyplomacji naszej, naprzód przy Watykanie, potem przy Kwirynale. Wzorem swoich poprzedników, tych, co niegdyś rozumieli obowiązek i potrzebę związku nauki z polityką i dyplomacją, na gruncie rzymskim usiłował łączyć ze sobą te dziedziny, wiedząc, że tu, na tej drodze, trafić można do wszystkich, a imieniowi polskiemu zapewnić znaczenie i powagę. Spotkał się wszakże w odrodzonej Polsce z innem zrozumieniem naszych potrzeb i obowiązków w stosunkach dyplomatycznych, obywających się w znacznej mierze bez kwalifikacyj kulturalno-naukowych. Dlatego też został pozostawiony na gruncie rzymskim sobie samemu, do tego stopnia, że nawet tak ważne dla dziejów kultury naszej książki, jak omawiana, zmuszony jest wydawać na obczyźnie przeważnie własnym nakładem... Tem większa w tem jego zasługa, tem większa wartość moralna czynu naukowego.

WŁADYSŁAW JABŁONOWSKI

SPOŁECZNO-POLITYCZNE IDEJE SŁOWACKIEGO W DOBIE MISTYCYZMU

(Ciąg dalszy)

II

„SAMUEL ZBOROWSKI“ I WIERSZ „DO AUTORA TRZECH PSALMÓW“; — ICH ZAWARTOŚĆ POLITYCZNA

Kosmogonja genezyjska, mająca odrodzić dusze wyznawców i sprowadzić nową, wyższą epokę ludzkości, ma tem samem zarówno charakter religijny jak i społeczno-reformatorski. Ze sprawą polską łączy się zaś przez to, że tylko z racji swego mesjanicznego posłannictwa, polegającego na głoszeniu prawd genezyjskich, Polska potrzebna jest Bogu i ludom, a zatem tylko z tej racji wskrzeszoną być musi. Ale wkraczając w ten sposób w sferę spraw społeczno-politycznych, pisma genezyjskie nie stają się jeszcze pismami politycznemi,—nie mówią ani o ustroju społecznego współżycia, ani nie zajmują się ideami społeczno-politycznemi we właściwem znaczeniu. Zasadniczo jednakże związek między tą materją a kosmogoniczną koncepcją genezyjską istnieje: duch podnosi się na coraz wyższe szczeble bytu, naprzód stwarzając coraz doskonalsze kształty, potem—już w formie ludzkiej doskonaląc się przez coraz wyższe rewelacje religijne, moralne i społeczne. A na końcu tej kosmogonji, przed ostateczną wizją celów finalnych, Królestwa Bożego, czyli „Jerozolimy Słonecznej“, zapowiedzianej w Objawieniu Św. Jana, widnieje idealny ustrój społeczny, mający to Królestwo Boże na ziemię sprowadzić. I ten to ustrój idealny ma urzeczywistnić Polska, ma zbudować ostatnie ogniwo genezyjskiego łańcucha, poczynającego się od stworzenia materji a kończącego na przemienieniu ziemi w słońce. W ten sposób cel jej to już nie sprawa bytu lub niebytu jednego narodu, nawet nie sprawa ludzkości całej, to—„atmosferyczny cel globowy“. Zadatki tej misji Polski leżą w jej przeszłości,—tam tkwią ziarna, które rozwinąć się mają w ten ustrój doskonały, przez który wszystko przejść musi, co ma wejść do Królestwa Bożego. W tym sensie duchowym powiedziano, że „cała ziemia polska być musi“.

Ale o istocie tego ustroju z pism genezyjskich niczego się nie dowiadujemy. Jak już powiedziałem, w miejscach, gdzie o tem miałaby być mowa, teksty—czy to skutkiem defektów czy niewykończenia — urywają się. Jedno jest wszakże pismo, w którem możemy się spodziewać dopełnienia tego braku. Jest niem dramat „S a m u e l Z b o r o w s k i“.

O utworze tym, który doszedł nas — jeżeli wogóle kiedykolwiek był wykończony — jedynie we fragmentach, dających niejasne tylko wyobrażenie o jego budowie, tyle wszakże można napewne powiedzieć, że jest on pewnego rodzaju powtórzeniem zasadniczych składników genezyjskiej nauki. Istnieje nawet jakby jakiś paralelizm między tokiem dramatu a tokiem wykładu zawartego w pismach, obejmujących system nauki genezyjskiej. A więc spotykamy się tu naprzód z poetycką parafrazą „Genezis z Ducha“, obejmującą dzieje stworzenia od początku aż do człowieka. W systemie następują potem dalsze dzieje ducha, podnoszącego się stopniowo w historji ludzkości; rzecz ta przedstawiona jest w formie opowieści o kolejnych wcieleniach metempsychicznych dwojga kochanków i określana też bywa zwyczajnie mianem „romansu Heliona i Helois“. W „Zborow-

skim" powtarzają się sceny tego metempsychicznego romansu, a w szczególności reminiscencje przedwiekowego żywota bohaterów w Egipcie... Wreszcie od historji minionej przechodzi system nauki genezyjskiej do wytyczenia drogi dalszemu rozwojowi, wskazując cel finalny, ku któremu rozwój ducha dąży; i tutaj to powiedziano, że droga do tego celu prowadzi przez Polskę. W „Samuelu Zborowskim" część ostatnia, najobszerniejsza i najpełniej dochowana, tę właśnie materję traktuje. Wydaje się, że dramat miał na celu propagandę nauki przez ujęcie jej w pociągającą formę dramatycznego widowiska. Nawet zawarty w systemie rozdział polemiczno-krytyczny „o opinjach teraźniejszego świata" (Rozmowa II z H. i H.) znajduje tu swoje odbicie w dyskursie Bukarego z braćmi Theologus i Logicus... Możemy więc przyjąć za pewne, że owa część ostatnia „Zborowskiego", mówiąca o idei polskiej, odpowiada tej części nauki, która w jej systematycznym wykładzie nie została dopowiedzianą. Potwierdza to jeszcze ta okoliczność, że w „Rozmowach" (Rozm. I red. 1), w miejscu, gdzie mowa o celach finalnych, zacytowane zostały całe ustępy z odnośnych miejsc dramatu.

Ramy, w jakie ujęta jest w dramacie materja o społeczno-politycznej ideologji Polski, jest to mowa „Adwokata", broniącego przed sądem niebieskim sprawy Samuela Zborowskiego przeciw kanclerzowi Zamoyskiemu, który przed trzystu laty na tym tu świecie ściąć go był kazał. Dla zrozumienia tego pomysłu nie można brać Zborowskiego takim, jakim go przedstawiają źródła historyczne, — ściętym był bowiem, gdy za zabójstwo skazany na banicję, samowolnie powrócił i dopuszczał się w dalszym ciągu szeregu pospolitych gwałtów. Im bardziej studjowalibyśmy historję Zborowskiego, tem mniej rozumielibyśmy dramat. Słowacki bowiem robi ze Zborowskiego — wbrew wszelkiej prawdzie historycznej — reprezentanta wolności, z Zamoyskiego zaś reprezentanta bezdusznej formuły prawnej, czyli—jak brzmi wzgardliwe miano — „prawidła". Nie chodzi jednak o prawdę historyczną — chociaż tak dowolne jej przekształcenie prowadzić musi do nieporozumień,— gdyby bowiem poeta przedstawił był czyny swego bohatera—niechby z prawdą historyczną niezgodne, wiedzielibyśmy, z jakim człowiekiem mamy do czynienia; byłby to człowiek fikcyjny, ale określony. Tymczasem poeta o tych czynach zupełnie nie mówi, tak że całkiem niewiadomo, za co go kara spotkała. Zdawałoby się, że chce poprostu wskazać na coś rozumiejącego się samo przez się, bo znajomego powszechnie z historji, historja zaś na nieszczęście mówi co innego, jak poeta każe się domyślać. W ten sposób powstaje wrażenie obrony warcholstwa. Wywody zaś retoryczne adwokata, mimo swej rozwlekłości i ciągłego powtarzania się, pełne ustępów o dużej piękności poetyckiej, z punktu widzenia wymowy sądowej są przykładem, jaką ona być nie powinna [1]). Niema bowiem w całej mowie, nie to już jednego argumentu, ale nawet jednego zwrotu, dotykającego punktu winy, natomiast rozwinięte są motywy, nie mające z nią żadnego związku, a obliczone na wzruszenie słuchaczy. Ostatecznie nie wiemy, o co chodzi i jaki związek ma Zborowski z ideą Polski, a pośrednio z celami finalnemi. Ma się wrażenie, że w intencji poetyckiej leżała tylko emocjonalna, obrazowa strona sprawy,—ruch, pęd, pochód w górę, sztandary wiejące na wietrze; znaki na nich są zatarte. Dla poznania społeczno-politycznych poglądów Słowackiego na misję Polski, niczego stąd wyciągnąć nie możemy... To jedno chyba, że sucha, skostniała formuła prawna nie powinna panować nad życiem społecznem, ale tylko duch żywy i czujący. Jest to myśl podobna tej, jaką Słowacki wyraża gdzieindziej (List II do ks. Czartoryskiego), mówiąc o „ołowianej czapce konstytucji", lub porównując konstytucje do „ślepej księgi losu" starożytnego Olimpu (tamże), do ślepego fatum bez oczu i bez serca (Rozm. I). Kazimierz Wojciechowski (w „Księdze pamiątkowej ku czci Słowackiego, t. III), a za nim St. Cywiński w swem krytycznem wydaniu „Zborowskiego", przypominają słowa Mickiewicza w lekcji XXV roku 3 go wykładów, że Polacy „dążyli do zaprowadzenia rządu i utworzenia społeczeństwa, polegającego na wewnętrznym popędzie i dobrowolności" — w przeciwstawieniu więc oczywiście do wszelkiego przymusu a zatem i przymusu prawa pisanego. Autorowie ci sądzą nawet, że wpływ tej prelekcji mógł zrodzić cały pomysł dramatu, (t. j. oczywiście jego ostatniej części). Analogja jest tu trafnie dostrzeżona, jakkolwiek wniosek o bezpośrednim i decydującym wpływie zbyt pohopny. Idea ta bowiem nie jest oryginalną mickiewiczowską, ale tkwi w lelewelowskiej historjozofji, a co więcej, ma swoje analogje i gdzieindziej, jak np. u romantyków niemieckich w postaci ujemnych sądów o recepcji prawa rzymskiego. Supozycja jednak, że nie co innego, ale tylko schematyczne stosowanie martwej formuły prawnej spowodowało skazanie Zborowskiego, nie jest niczem poparta, i tak jak obrona adwokata, tak też i cała ideologja dramatu zawisły w powietrzu.

Jeżeli jednak o naturze misji mesjanicznej polski z utworu tego nie można powziąć jasnego wyobrażenia, to jednak stwierdza on z całą siłą poetyckiego uniesienia istnienie takiej misji. Obok wspomnianego już wyżej fragmentu z „Pierwszej Rozmowy" („Lamus" III, str. 249), jest on tej idei najważniejszym dokumentem. Przez Polskę idzie ludzkość do celów finalnych. Sprawa ta przedstawiona jest tutaj w obrazie poetyckim szturmu na miasto święte, Jerozolimę Słoneczną, dobywać jej będzie Polska—„szablami rąbiąc owe perły święte" jej bram. Ten paradoksalny pomysł znajduje nader interesujące oświetlenie w jednym ustępie „Pierwszej Rozmowy" („Lamus" III, str. 239), gdzie przytoczone jest odnośne miejsce dramatu. Powiedziano tu, że ten ton bojowy, to prawdziwy ton polski, ale ton „szalonych dawniej, a targających się poetów niepełnego przeczucia"; romantyczny prometeizm znajduje tu zatem oświetlenie jako niejasne przeczucie tego, co nauka genezyjska kiedyś objawi. Podobny pogląd na naturę niepokoju romantycznego znajdujemy w listach do matki i do Krasińskiego [2]). My dziś „nie bez łez" dla

[1]) Schopenhauer w sensie ironicznym pisząc o „sztuce prowadzenia sporów" powiada, że główna sztuka polega na tem, aby w ciągu dyskusji zmienić nieznacznie właściwy przedmiot sporu i podstawić za niego inny.

[2]) Tak np.: „Wszakże my wszyscy staraliśmy się być rozdawcami i wskrzesicielami ducha — wszakże wszyscy Enceladowaliśmy do nieba i udawało się nam czasem dla wielkiej boleści serc naszych — zdobyć cokolwiek ognia niebieskiego,—ale dla braku prostoty naszej nigdyśmy źródła Ducha Bożego otworzyć niemogli". (Do Z. Krasińskiego, 17-go stycznia 1843 r.)—(„Enceladеs", największy z tytanów, szturmujących niegdyś Olimp).

tych szalonych Ikarów — „wejdziemy spokojnie do tego grodu, rozpatrywać go jako przygotowane nam w przyszłości mieszkanie“. Nauka genezyjska daje nam spokój i pewność — przezwyciężenie romantyzmu.

Podobnie jak „Samuel Zborowski“ także i inny utwór poetycki, który uważany bywa pospolicie za wyznanie wiary społeczno-politycznej Słowackiego, w rzeczywistości nie daje o niej żadnego wyobrażenia. Mówię o wierszu „Do autora Trzech Psalmów“[3]). Wiersz ten, prawdziwy klejnot kunsztu poetyckiego[4]), stał się—wcale niezasłużenie—przez swą gorącą frazeologję i sugestywność formy, rodzajem manifestu radykalno-demokratycznego, rozprawa z Krasińskim—rozprawą postępowej idei demokratycznej z zacofanym arystokratycznym tradycjonalizmem... Naprawdę jest to nietyle rozprawa dwóch programów, ile raczej dwóch nastrojów.

Punktem wyjścia sporu jest obawa Krasińskiego, że agitacja radykalnej demagogji demokratycznej może rozhuśtać drapieżne instynkty ciemnego chłopstwa i doprowadzić do rzezi. Słowacki temu zaprzecza i uważa obawy Krasińskiego za urojenie, insynuując mu przytem ironicznie strach przed gminem, strach właściwy warstwom przeczulonym i zdegenerowanym, przy zetknięciu z prostą i szorstką, pierwotną naturą. Rozstrzyganie pytania, kto miał słuszność co do możliwości skutków demagogicznej agitacji, byłoby całkiem nie na czasie; wogóle rozstrzyganie wszelkich pytań na temat „coby było — gdyby...“ należy raczej do dziedziny profetyzmu. Fakty nie dały odpowiedzi; między „tak“ i „nie“ wmieszał się trzeci czynnik, który całą kwestję sporną przekreślił, Austrja. Ale pozostało coś, co jednak zostało rozstrzygnięte: Słowacki wykluczał nietylko możliwość szkodliwych skutków agitacji, ale możliwość rabacji chłopskiej wogóle. Przypuszczenie takiej możliwości jest obrazą ludu. „Ten kto ojcu powie rakka—ten przeklęty, więc się bój; polski lud to ojciec twój“. I oto omylił się... W świetle tego faktu należałoby rozpatrzyć pytanie, czy nie miał słuszności Krasiński twierdząc, że powołanie ludu do życia politycznego, w szczególności do walki za Ojczyznę, powinno być poprzedzone przez jego uświadomienie:

Bo lud martwy sam — to mało,
Ogrom leży, a bez czucia,
Jeszcze trzeba iskry z nieba
A nie z ziemi — do rozkucia
Marzącego w śnie olbrzyma.

Wprzężenie rewolucji socjalnej w sprawę walki o niepodległość, było niewątpliwie utopją, bo w logicznym łańcuchu: potrzeba mas do walki o wyzwolenie Ojczyzny — masy to lud uobywatelony — niema uobywatelenia bez uwłaszczenia, w tym łańcuchu zapomniano o ogniwach czasu. Ta rzekomo demokratyczna koncepcja tkwiła naprawdę w sposobie myślenia epoki patrymonjalnej: łaska za posługę. A na takiej płaszczyźnie musiało się oczywiście wysunąć pytanie: od kogo dostać można pewniej a taniej. A tak wygrał tę sprawę na swoją korzyść rząd zaborczy. Przeoczono, że w walce o dobra idealne liczy się tylko warstwa narodowo uświadomiona... Warstwą taką w danej chwili conajmniej w trzech czwartych częściach była szlachta[5]). Trzeba zauważyć przytem, że Krasiński mówi o szlachcie, Słowacki zaś o magnatach, a to chyba nie jedno i to samo,—polemika tedy nie trafia w sedno.

Słabą stroną wywodów Krasińskiego jest nie to, co się w nich mieści, ale to, czego brakuje. Krasiński nie stawia żadnego programu, bo nie jest politycznym programem: być szlachetnym. To też ten punkt ironizuje Słowacki[6]), z pozorami słuszności imputując przeciwnikowi intencję pozostawienia wszystkiego po dawnemu: „stójmy tak, na ojców kości“... Temu brakowi programu nie przeciwstawił jednak programu własnego. Bo jeśli naprzeciw rzekomego hasła zastoju stawia się hasło ruchu tak sformułowane: „jam żadnego nie klął ruchu...“—to jak na program jest to nieco za mało, i — nieco za wiele.

Obaj poeci, ludzie do czynu nie stworzeni, dlatego właśnie zapewne żywili szczególny kult czynu. Pogląd romantyczny, że genjusz — a poeta jest typem genjusza — jest genjuszem do wszystkiego[7]), dawał im złudzenie, że i na polu czynu mogliby odegrać szczególną rolę. Słowacki zapowiada, że „na koń czynu usiądzie“, Krasiński woła: „zgińcie me pieśni, wstańcie czynu moje“. Słowacki zarzuca Krasińskiemu[8]), że nie przystępuje do czynu, Krasiński Słowackiemu, że żyje w krainie marzeń. Obaj zaś z konkretnej istoty czynu nie zdają sobie sprawy, wielbią czyn jako taki. Staje

---

[3]) Wiersz ten — noszący także tytuł „Odpowiedź na Psalmy Przyszłości“—znamy w trzech redakcjach: 1) rękopis lwowski (Bibl. Ossol.) jest bruljonem; Małecki a za nim Gubrynowicz uznał go za tekst obowiązujący; 2) druk lipski, wydany bez wiedzy i wbrew woli autora, który to tekst za obowiązujący uznał Kleiner; 3) rękopis warszawski (Bibl. Kras.), który za redakcję ostatnią i autentyczną uważa—jak sądzę słusznie — Kridl. Tekst ten ogłosił on w swem wydaniu „Psalmów Przyszłości“ w „Bibljotece Narodowej“, jakkolwiek należało tu podać raczej tekst lipski, gdyż ten właśnie miał w rękach Krasiński i odpowiedział nań „Psalmem Żalu“. Wydanie Kridla podaje wprawdzie w dodatku ustępy, wypuszczone w ostatniej redakcji, nie podaje jednak warjantów. Wszystkie trzy teksty z warjantami zestawia w przypisach Gubrynowicz (t. I); podaje nadto nie zawarty w żadnym tekście fragment ogłoszony w „Warcie“ (r. 1882, nr. 409). — Jest rzeczą charakterystyczną, które to ustępy z pierwotnego bruljonu Słowacki wykreślił lub zmienił; redakcja ostatnia łagodzi ostrze polemiki, usuwa zwroty o charakterze egotycznym i opuszcza ustęp o spełnianiu wyroków Bożych przez Mogoły, co po rzezi galicyjskiej mogłoby zaiste naprowadzać dziwne refleksje.

[4]) O jego muzyczności zob. zwłaszcza Chlebowskiego „Jul. Słow.“ w zbiorowem dziele „Sto lat myśli polskiej“. Kleiner (t. IV, część 2, str. 172 i n.) podnosi trafnie, że rytmika ma charakter rytmiki sporu, niepotrzebnie tylko czyni porównanie do kłótni kobiecej; ten suggestyjny paradoks może czytelnikowi zatruć reminiscencją babskiego szwargotu estetyczne wzruszenie. — Sąd o wysokiej wartości utworu odnosi się bez zastrzeżeń do strony formalnej, do rytmiki, języka, obrazowania,—do strony treściowej — niezależnie od jakiegokolwiek ustosunkowania się do poglądów poety — odnieść go bez zastrzeżeń nie można. Zbyt wiele w nim jest zwrotów niejasnych, niezrozumiałych lub takich, które podlegają fałszywym tłumaczeniom.

[5]) W transie demokratycznym wypierali się demokraci wprawdzie często swego szlachectwa. Bywali emisarjusze, wędrujący po kraju w przebraniu chłopskiem, jako smolarze, żebracy i t. p., którzy pochwyceni przez Moskali, nawet wbrew przedstawianym sobie dokumentom, twierdzili uparcie, że szlachcicami nie są, narażając się przez to na karę chłosty, od której wolnym był *„dworjanin“*. Ta jednak maskarada, w której kabotynizm rywalizuje z bohaterstwem, nie zmienia istoty rzeczy.

[6]) Początek wiersza zawiera myśl wyrażoną niewątpliwie wadliwie: „Podług ciebie, mój szlachcicu, cnotą naszą znieść niewolę...“ Dosłownie znaczy to, że zniesienie niewoli, (t. j. poddaństwa chłopskiego) uważa Krasiński za cnotę, co oczywiście nie może być przedmiotem ironji: zamierzony był sens inny: Podług ciebie, niewolę naszą (narodową) znieść można przez samą cnotę.

[7]) Schlegel powiada: „Genjuszu nie można mieć: można nim tylko być. — Genjusz niema liczby mnogiej, w liczbie pojedyńczej tkwi już cały“.

[8]) List do Z. Kr. z 17 stycznia 1843.

on się w ten sposób pojęciem metafizycznem. Podobnie ma się rzecz u Słowackiego z pojęciem „ruchu". Chodzi tu o ruch, o poruszenie ducha, — tam, gdzie duch jest poruszony, zlatują się — niby w wir powietrzny — z pomocą duchy z zaświatne, jak siły elementarne [9]... To już nietylko metafizyka, ale mistyka.

A tak samo dziedziny mistyki dotyka owo, tak źle rozumiane, a tak często wyzyskiwane, pojęcie ducha jako „wiecznego rewolucjonisty".

Zasadniczą myślą nauki genezyjskiej jest prawo ciągłego postępu. Duch na pewnym szczeblu stojący, obmyśla nowe kształty a dawne odrzuca. W części kosmogonicznej swej nauki przyjmuje Słowacki, śladem Cuviera i pokrewnych mu kierunków przyrodoznawstwa, teorję przemian nagłych, niszczących kataklizmów i wielokrotnych aktów stworzenia. Od tego to katastrofizmu przyrodniczego duch, który z przewrotów dla swego postępu korzysta, nazwany jest „rewolucjonistą". Jednakowoż w historycznej części genezyjskiej nauki nie spotykamy się już z teorją kataklizmów, nie widzimy, jakoby postęp miał się dokonywać tylko drogą przewrotów gwałtownych. Ta różnica ma zresztą swoje uzasadnienie. Oto owe niszczące kataklizmy okresu kształto-twórczego dokonywane są ręką Bożą, zmuszającą duchy zaleniwiałe do dalszej postępowej pracy. Powiedziano zaś, że w szóstym dniu stworzenia Bóg z Noem uczynił przymierze i zrzekł się dalszej interwencji w losach globu, pozostawiając wolność duchowi. Jeśli zatem określono ducha, jako „rewolucjonistę", to termin ten nie musi być brany w znaczeniu, jakie do niego zwyczajnie przywiązujemy,—„rewolucje" nie muszą—jakkolwiek mogą także—być przewrotami gwałtownemi. Że pojęcie rewolucji spokojnej nie jest czemś całkiem niezwykłem, dowodzą „Prawdy żywotne" Kamieńskiego, gdzie jest mowa o tem, że w Polsce na drodze braterskiego porozumienia dokonać się może „rewolucja" znosząca poddaństwo. Wyrażenie więc o „duchu wiecznym rewolucjoniście" nie uprawnia wcale do przypisywania Słowackiemu jakichś robespierrowskich tendencyj. W pismach politycznych wyraża on się też ujemnie o Robespierrach i „czerwonych demokracjach".

Ale jednak czytamy:

Bo ty nie myśl, że z anioły
Tylko Boża myśl nadchodzi,
Czasem Bóg ją we krwi rodzi,
Czasem rzuca — przez Mogoły... [10]

A zatem, gdy cały wiersz wyszydza obawę Krasińskiego przed rzezią, dopuszcza jednak Sł. myśl, że za Boskim wyrokiem rozpętane być mogą siły barbarzyńskie, pogańskie, które Bóg za narzędzie swych celów użyje. I taki więc wyrok Boży trzeba przewidzieć i jemu się poddać. A to znaczy dać się ciągnąć bezwolnie przez wypadki, zamiast niemi kierować... W jednej zapisce „Raptularza" wytyka Słowacki Towiańskiemu jego zasadę „poddawania się woli Bożej", gdyż w ten sposób wszystko można wmówić w człowieka i odebrać mu wszelką inicjatywę czynu, popchnąć w fatalizm. A tutaj grzech wytknięty Towiańskiemu sam popełnia. W żadnym razie stanowisko takiej bezwolności nie obstoi za program. Jeżeli o jakiejś pozytywnej myśli politycznej w wierszu „Do autora Trzech Psalmów" może być mowa, to ogranicza się ta myśl do tego, że w interesie odbudowania ojczyzny dopuścić trzeba do udziału szerokie warstwy ludowe i mieć do nich zaufanie. Niema w tem już i na owe czasy nic oryginalnego i w gruncie rzeczy Krasiński uznaje to samo, — ostrożniejszy jednak w sądach uważa, że te szerokie masy trzeba naprzód uświadomić, zanim się je do obywatelskiej współpracy powoła. To w każdym razie więcej wygląda na program, aniżeli rzucanie się w nieznane z zawiązanemi oczyma.

Wiersz „Do autora Trzech Psalmów" ze względu na zawarte w nim zasadnicze sprzeczności i otwarcie wrót czynnikowi nieobliczalnemu, metafizycznemu, za program polityczny uważanym być nie może. Powstał w momencie, kiedy dla przygotowywanej rewolucji podstawową była sprawa pozyskania mas. Chciano je pozyskać przez połączenie hasła niepodległości z hasłem uwłaszczenia. Tym środkiem Słowacki mało się zajmował—(znamienne jest, że w wierszu nie ma o tem wcale mowy) — ale do serca wziął cel. Jeszcze w owym liście, pisanym do Krasińskiego w sam dzień wybuchu rabacji, jest to jego troską gorącą: „trzeba nam mas jakkolwiek stworzonych"; toż w imię tego celu odkłada nawet swą myśl najukochańszą, mesjaniczną propagandę nauki genezyjskiej! Taksamo odsuwa na bok te skrupuły, które by mu mogły nastręczać przekonania, wyrażone kiedyindziej w pismach politycznych: zapodziała się gdzieś zasada hierarchji, tak jaskrawo podkreślona w zdaniu, że w dawnej Polsce „nikt nie myślał wyciągać z za pieca pijanego chłopa, aby go stawiać na równi z pięknym i szlachetnym rycerzem", — niema mowy o „ohydzie, która na krwawe komunizmy i czerwone demokracje upada"; zwrot nawet użyty w wierszu przeciw Czartoryskiemu — („poszedł gnić między królami") — stoi w jawnej sprzeczności z „Listami do ks. A. C."... „Trzeba nam mas jakkolwiek stworzonych"—wołało życie, wstrząsając emigracją, a zwłaszcza jej odłamem demokratycznym, i wywołując echo w wierszu „Do autora Trzech Psalmów" i w Liście do Krasińskiego z 19 lutego 1846 r.

List ten z innego jeszcze względu jest godny uwagi. Oto z tonu wiersza, — jakkolwiek nie przeznaczonego podobno do publikacji i Krasińskiemu na razie nieznanego — zdawałoby się, że między

---

[9]) „Z siły ruchu rodzą się w narodzie siły elektryczne i magnetyczne ludzkie i siły zapału. Słowem cała kolumna ducha działa" (Dziennik, r. 1848, 29 września). „Najżywszy ruch ducha w narodzie ściąga w naród najwyższe duchy" (tamże r. 1849, 12 stycznia). Wszystko, co budzi ducha ze snu i odrętwienia, jest siłą twórczą, motorem postępu genezyjskiego. Takie jest historjozoficzne znaczenie zbrodni Popiela w „Królu Duchu". Mojżesz dopiero popełniwszy zbrodnię przez zabicie Egipcjanina, dorósł na wodza ludu, gdyż ta zbrodnia obudziła w nim ruch ducha (Rozm. III). Z rzezi humańskiej wyszło więcej znakomitych Polaków, niż z liceum krzemienieckiego, obudzonym bowiem ruchem ducha zwabione zostały w ciała duchy wysokie, — czytamy w „Raptularzu". To samo znaczenie ma antypacyfistyczna strofa (14) w Rapsodzie V, p. 1 „Króla Ducha" — o czem jeszcze niżej.

[10]) Ustęp pierwszej redakcji, w którym znajdują się te słowa, został później skreślony, jednakowoż właściwie ta sama myśl tkwi w innych wierszach:

„Więc się bój — bo Duch się wdziera,
Już podnosi góry, wieże.
Słaby, mówisz, rzeź wybiera.
A czy wiesz, co On wybierze?...
Może ludów zatracenie,
Może nam przyniesie w dłoni
Komet wicher i płomienie,
W których drży król — matka roni..." i t. d.

Ten „Duch" jest tak samo jakimś czynnikiem stojącym poza nami, fatalistycznym, jak Boża wola, spełniająca cele swoje przez Mogoły.

obu poetami istnieje przepaść nie do przebycia. A tymczasem w liście, o krótki czas kilku czy kilkunastu tygodni późniejszym, znajdujemy ton najtkliwszej przyjaźni i słowa, wyrażające wysoki szacunek dla tego przeciwnika... „Szczerze Zygmuncie—jako człowiek, ty jeden jesteś nadzieją moją“... Wiersze a proza odmienną mają dynamikę... a wierszy nie należy brać dosłownie...

Wiersz „Do autora Trzech Psalmów“ w większej może mierze aniżeli walką politycznych programów, jest rodzajem poetyckiego turnieju. Ton poezji autora „Psalmów“ drażni Słowackiego; słyszymy tu echo tych samych zarzutów, które czynił przyjacielowi listownie [11]) z okazji „Przedświtu“; i tutaj jeszcze tonu „Przedświtu“ mu nie darował, są do niego wyraźne aluzje. Romantyczne marzycielstwo i roztkliwianie nie są już tonem na chwilę obecną. Z podobnemi wycieczkami przeciw romantyzmowi i byronizmowi spotykamy się też w listach do matki. Poezja musi uświadomić sobie nowe zadania. W pierwszej redakcji wiersza był ustęp, w którym Słowacki za przykład w tym względzie stawiał sam siebie:

Jam spróbował na mej głowie
Nakształt perły kałłakuckiej
Nosić gwiazdę myśli ludzkiej—i t. d.

Ustęp ten—powodowany trafnem poczuciem—jako wnoszący niewłaściwy element egotyzmu, w późniejszej redakcji wykreślił. Ale pozostaje on znamiennym: „Gwiazdą myśli“ jest nauka genezyjska, Krasińskiego ideje nie zawierają pierwiastków, które noszą w sobie „święci i nowi“ [12]). A poza tą walką o ton ducha, jest w tym turnieju poetyckim jeszcze wyzwanie o formę. Uderzające jest pokrewieństwo formy rytmicznej wiersza „Do autora Trzech Psalmów“ z „Psalmem Miłości“. Występuje tu szczególna cecha Słowackiego: równoczesna skłonność do imitacji i opozycji. Obce utwory poetyckie działały nań silnie i dawały pobudkę do naśladowania,—zmysł krytyczny, często nawet przekora, widziały w nich braki i dawały poczucie, że on zrobiłby to samo lepiej. Tej cechy jego umysłowości mamy bardzo liczne przykłady. I tutaj podziałała nań suggestywnie forma rytmiczna, a równocześnie podrażniło jej nieudolne wyzyskanie. Jak zgrzyt żelaza po szkle musiało nań podziałać, gdy z natchnionego mistycznego tonu wybuchnął nagle rytm zbliżony niemal do krakowiaczka: „Jeden tylko, jeden cud—z szlachtą polską polski lud...“ I z naśladowania i opozycji powstała owa „jedna z przedziwności języka polskiego“, jak wiersz zwrócony przeciwko sobie z szacunku godną uczciwością nazywa Krasiński.

Krytyka, omawiając ten turniej wieszczów, trudzi się całkiem jałowem pytaniem: kto miał słuszność? Na polu polityki o słuszności nie rozstrzygają temperamenty. W poetyckim zaś turnieju „słuszność“ zostaje przy Słowackim, bo jest rzeczą niewątpliwie „niesłuszną” pisać mizerne wiersze.

(D. c. n.) JAN GWALBERT PAWLIKOWSKI

[11]) Dwa listy ogłoszone przez J. Ujejskiego w „Przeglądzie Warszawskim“, rok V (1925) tom I.

[12]) „To my święci, to my młodzi...“ w końcowym ustępie bruljonu, później skreślonym.

W OCZY...

Na biurku śp. Maryli Wolskiej
znaleziono bruljon ostatniego
jej wiersza...

Nie, nie wtedy konał syn mój, słyszycie?!
Gdy rusiński siekł go nahaj do kości!
Nie! on wierzył, że śmierć taka, to życie,
Że swem ciałem szlak do domu wymości!

I nie wtedy konał syn mój, gdy hardo,
Ku luf oczom pierś broczącą zwróciwszy,
Śnił, na zbirów swoich patrząc ze wzgardą,
Że z za grobu żyw powróci — i mściwszy!

Gdy zeń katy łach ostatni obdarły
I rzucono w dół, nagiego jak ziarno —
Nie byłci on, chociaż w śmierci — umarły!
Jeszcze w ran swych ufny czerwień ofiarną...

Dziś dopiero skona syn mój! Słyszycie?!
Dziś — z druhami — wiecznie zawrą go ciemnie...
Nie przyjęła śmierć krwi ceny za życie —
I śmierć wygra, jeśli padli daremnie!

Więc nie wilcze klnę dziś tropy ni żbicze,
Lecz po ziemi garść się schylam i milczę...
I w okrutne jedno ciskam oblicze,
W oczy srozsze, niźli sępie i wilcze,

Grudę tej ziemi, tej ziemi, co tłoczy
Niepocieszone dziecka mego oczy!

Lwów 1930. MARYLA WOLSKA

WYCHOWANIE NARODOWE

SEMINARJUM BIAŁORUSKIE

DZIENNIKI przyniosły ostatnio wiadomość o założeniu od nowego roku szkolnego seminarjum nauczycielskiego białoruskiego w Wilnie. Ponieważ wiadomości tej ze strony urzędowej nie zaprzeczono, przeto należy przyjąć, że informacja jest ścisła. Pozycja budżetowa, uchwalona na seminarjum białoruskie na wniosek posłów z B.B., nie uległa jakoś „kompresji" budżetowej, której ofiarą padło tyle żywotnych interesów oświatowych polskich, i jak widać—seminarjum dochodzi do skutku.

Utworzenie seminarjum białoruskiego w Wilnie dla nauczycieli szkół powszechnych śmiało można nazwać doniosłem posunięciem w rozwoju stosunków polsko-białoruskich, posunięciem — powiedzmy tu odrazu — fatalnem. Jest ono bezcennym prezentem dla garści inteligentów, reprezentujących dzisiaj tak zw. ruch narodowy białoruski w Polsce, no i dla całej sfory agitatorów komunistycznych, którzy rozdmuchują co sił słabą iskierkę odrębności etnicznej, tlejącą w masach ludu białoruskiego, żeby z czasem wzniecić pożar buntu przeciw „kapitalistycznemu" uciskowi polskiemu. Seminarjum białoruskie jest dla nich wszystkich stokroć cenniejszym nabytkiem, niż istniejące trzy gimnazja białoruskie, które przy swoim niskim poziomie i przy słabej frekwencji — produkują zaledwie garść młodzieży, pozostającej, jak dotąd, bez większych praktycznych korzyści dla ruchu białoruskiego[1]). Seminarjum cenniejsze jest niż nawet katedra tak zw. „białorusoznawstwa", o którą się czyni tyle hałasu w prasie białoruskiej. Tylko seminarjum bowiem da możność wykształcenia zastępu agitatorów ludowych, budzących uświadomienie białoruskie na wsi. Seminarjum przedewszystkiem pozwoli stworzyć sieć białoruskich szkół powszechnych, które zapewnią dostateczny dopływ młodzieży białoruskiej do gimnazjów. Słowem — seminarjum białoruskie jest początkiem nowego aktu tej tragicznej zaiste komedji, rozgrywającej się na naszych oczach: komedji tworzenia „narodu" białoruskiego rękami rządu i radykalnych działaczy polskich. Z lekkiem sercem sprzedaje się tu przyszłość państwa dla radykalnej doktryny i dla chwilowych koncepcyj politycznych. I dzieje się to w chwili, gdy właśnie w Rosji sowieckiej cała „białoruszczyzna" znajduje się w stadjum bankructwa, gdy bankrutuje ruch białoruski na Łotwie i gdy ostatnie wyniki wyborcze na kresach stwierdzają ponad wszelką wątpliwość, że świadomość odrębności narodowej wśród białorusinów znajduje się w stadjum odpływu.

Jakże żywo przypominają się zabiegi Badenich i Bobrzyńskiego około wytworzenia narodu „ukraińskiego" po to tylko, by zrealizować austrjacką, w gruncie rzeczy, koncepcję dywersji przeciw ruchowi moskalofilskiemu wśród rusinów. Jakże łatwo, niestety, można przewidzieć skutki tej nowej doktrynerskiej działalności!

Spróbujmy jednak na chwilę zastanowić się nad tą sprawą, nie z punktu widzenia politycznego, ale ze stanowiska ściśle szkolnego. Może są ważne powody natury pedagogicznej, lub administracyjno-szkolnej, które skłaniają rząd do założenia tego seminarjum? Może tu nie chodzi o politykę, ale wyłącznie o dobro szkoły?

Potrzebę seminarjum białoruskiego uznawalibyśmy pod dwoma warunkami: gdyby liczba szkół białoruskich była zbyt mała w stosunku do istniejących potrzeb i gdyby szkoły te nie mogły mnożyć się i rozwijać z powodu braku nauczycieli, znających język białoruski. Czy warunki te zachodzą?

Jak wiadomo, na terenie ziem, zamieszkałych przez białorusinów, obowiązuje bardzo liberalna ustawa z 31 lipca 1924 r., pozwalająca tworzyć szkołę białoruską (lub „dwujęzyczną") wszędzie tam, gdzie w dorocznym plebiscycie szkolnym upomną się o to rodzice conajmniej 40 dzieci. Ustawa ta daje szkolnictwu białoruskiemu specjalnie duże szanse, naprzód dlatego, że umożliwia swobodną agitację za szkołą białoruską wielu dawnym nauczycielom szkół rosyjskich, mieszkającym, czasem bez określonego zajęcia—na ziemiach wschodnich, tęskniącym do posad w szkolnictwie, a przyznającym się dziś przeważnie do narodowości białoruskiej. Powtóre dlatego jeszcze szanse powstawania właśnie szkół białoruskich są stosunkowo duże, że spis ludności z r. 1921 w wielu powiatach ludność tak zw. „tutejszą" zaliczył do białorusinów: często na niekorzyść Polaków, najczęściej jednak na niekorzyść rusinów. Jest więc w Polsce sporo takich gmin, które liczą na papierze więcej niż 25% ludności białoruskiej (i mają skutkiem tego możność ustawową uzyskiwania szkół białoruskich), a które nie leżą w istocie na terytorjum etnicznem białoruskiem.

Nie należy wreszcie zapominać, że administracja ogólna i administracja szkolna w Polsce dobierana była w ostatnich latach pod kątem „ideologji" federalizmu, a ponadto, że radykalna część polskiego nauczycielstwa szkół powszechnych z sympatją spogląda na „wyzwoleńczy" ruch białoruski. Wszystko to raczej faworyzowało ruch w kierunku zakładania szkół białoruskich, niż stało mu na przeszkodzie. Taki pan wojewoda nowogródzki, stawiający za pieniądze skarbowe bursę przy prywatnem gimnazjum białoruskiem, nie jest chyba przeciwnikiem szkół powszechnych białoruskich. Taki kurator wileński, subwencjonujący kilkunastu etatami państwowemi prywatne gimnazja białoruskie, chyba nie przeszkadza rozwojowi ich szkolnictwa? Nic nam też niewiadomo o jakichkolwiek nieformalnościach w przeprowadzaniu plebiscytu szkolnego.

Jeśli w tych warunkach liczba szkół powszechnych białoruskich (publicznych i prywatnych) w Polsce wynosi obecnie 26, a „dwujęzycznych" polsko-białoruskich 52[2]), to chyba trudno mówić o jakimś żywiołowym ruchu ludności w kierunku powstawania szkolnictwa białoruskiego. Tak mówi statystyka, a my tu, siedząc na Wileńszczyźnie wiemy na podstawie autopsji, że właściwie ta niewielka stosunkowo liczba szkół białoruskich jest jeszcze zbyt duża w stosunku do istniejących potrzeb. Wiemy również, że ostatnie plebiscyty szkolne przyniosły minimalną liczbę zgłoszeń o nowe szkoły białoruskie, i to zarówno na Wileńszczyźnie, jak i na Polesiu.

[1]) Według Rocznika Stat. (1929) w r. 1927 otrzymało w całej Polsce matury gimn. zaledwie 24 białorusinów.

[2]) Rocznik Statystyki Rzeczypospolitej Polskiej, 1929, str. 395.

Tak więc liczba szkół nie usprawiedliwiałaby inicjatywy w sprawie nowego seminarjum, nawet gdyby w rzeczywistości istniał brak nauczycieli białoruskich. Ale braku nauczycieli jako żywo niema, mimo wszystko, co w tej sprawie wypisują w prasie i wykrzykują w sejmie posłowie białorusccy. Wszak sami białorusini podnoszą lament, jakoby rząd polski setki nauczycieli białoruskich rozrzucił po szkołach na terytorjum etnograficznem polskiem! Otóż zarzut o zatrudnianiu nauczycieli białoruskich na terytorjum polskiem jest wprawdzie zupełnie fałszywy, ale — setki nauczycieli białoruskich rzeczywiście w Polsce istnieją. Są to przeważnie ludzie, którzy pokończyli specjalne państwowe roczne kursy, urządzane od jakich 8 lat dla byłych nauczycieli szkół rosyjskich[3]). Są to doświadczeni nauczyciele, przeważnie prawosławni, umiejący po białorusku z praktyki osobistej i na podstawie studjum na kursie, mający kwalifikacje do szkół polskich i białoruskich i zatrudniani w szkołach białoruskich, gdzie tylko taka szkoła się otworzy. Narazie jednak większość z nich uczy w szkołach polskich na kresach, czekając daremnie, aż ludność — dopomni się o szkoły białoruskie.

To jeszcze nie wszystko. We wszystkich prawie seminarjach nauczycielskich na Wileńszczyźnie, do których przecie uczęszcza także sporo młodzieży białoruskiej, istnieje język białoruski jako obowiązkowy przedmiot nauczania i to w tej samej liczbie godzin, co język polski. Absolwenci tych seminarjów polskich w ogromnej liczbie doskonale mówią i piszą w języku białoruskim, znanym im zresztą od dziecka. Ci młodzi nauczyciele z seminarjów w Wilnie, Nieświeżu, Borunach, Słonimie i t. d. są więc znakomitym materjałem do szkół białoruskich i polsko-białoruskich, gdziekolwiek one powstają. W praktyce ci nauczyciele uczą też języka białoruskiego w wielu szkołach powszechnych polskich, gdzie język białoruski wprowadzono jako obowiązkowy.

Ci absolwenci polskich seminarjów nauczycielskich na ziemiach wschodnich stanowią kadry niemałe, skoro (według Rocznika Statystycznego na r. 1929, str. 415) w r. 1928/29 wydano w województwach wschodnich 391 matur nauczycielskich (w 16 zakładach państwowych i prywatnych na Wileńszczyźnie i na Polesiu oraz w 5 na Wołyniu). Gdyby nawet przyjąć, że z tej liczby tylko 200 osób zna poprawnie język białoruski, to liczba ta chyba aż zanadto wystarcza dla zapewnienia sił nauczycielskich szkołom białoruskim.

Zdaje się, w świetle tych cyfr nie może już podlegać wątpliwości fakt istnienia zupełnie dostatecznego zapasu sił nauczycielskich do szkół białoruskich.

Wynika z tego znów w sposób niewątpliwy, że powstające seminarjum białoruskie nie wywodzi się z jakiejkolwiek realnej potrzeby oświatowej. Jest ono jedynie i wyłącznie aktem jakiejś niezrozumiałej gry politycznej, której dalszego ciągu oczekujemy z niepokojem. Starym rzeczy porządkiem szkoła, która powstanie swe zawdzięcza polityce — będzie też napewno siedzibą polityki, będzie szkołą agitatorów ruchu białoruskiego. A jeżeli tempo powstawania szkół powszechnych białoruskich nie zwiększy się mimo wszystko w latach najbliższych — to absolwenci tego państwowego seminarjum nauczycielskiego znajdą się bez posad i powiększą liczbę bezrobotnej inteligencji, która tak dotkliwie daje się nam we znaki w województwach południowo-wschodnich.

Jeszcze jedno. Nie znamy zasad organizacji nowego seminarjum nauczycielskiego, ale pozwolimy sobie przypomnieć, że ustawa z 31 lipca 1924 r. wyraźnie zakazuje tworzenia seminarjów nauczycielskich białoruskich, postanawia bowiem w art. 5:

„Nowo zakładane państwowe seminarja nauczycielskie na obszarze województw: lwowskiego, stanisławowskiego, tarnopolskiego, wołyńskiego, poleskiego, nowogródzkiego i wileńskiego będą dwujęzyczne polsko-ruskie (rusińskie), względnie polsko-białoruskie".

Mimo wszystko, co w ostatnich latach zaszło w dziedzinie praworządności w państwie, chcemy wierzyć, że nowe seminarjum nie będzie jawnem pogwałceniem istniejących przepisów prawnych i że będzie dwujęzyczne, a mianowicie — lojalnie dwujęzyczne, t. j. zachowujące przynajmniej połowę godzin nauczania w języku polskim. Piszemy to w tym celu, żeby póki czas ostrzec rząd, iż społeczeństwo polskie zna swoje prawa i że praw tych bronić będzie do ostatka.

* * *

Streszczamy się: powstające seminarjum białoruskie jest bezprawne w świetle przepisów ustawy, jest niepotrzebne dla szkolnictwa białoruskiego, jest szkodliwe dla szkolnictwa polskiego, jest wreszcie nonsensem politycznym w obecnej sytuacji, jest hojnym prezentem dla nacjonalizmu białoruskiego, wypłaconym z kasy państwowej, w dodatku wypłaconym przez ludzi, którzy mają pełną gębę frazesów o potrzebie walki z nacjonalizmem polskim.

Nie łudzimy się, żeby głosy prasy narodowej zdołały wstrzymać zamierzenia ludzi, którzy jawnie lekceważą sobie prawo i opinję publiczną. Niechaj jednak przynajmniej odpowiedzialność zaraz u wstępu będzie ustalona.

Wilno, w lipcu W. JANKOWSKI

[3]) J. Kornecki w swym artykule p. t. „Szkolnictwo dla mniejszości narodowych" („Oświata polska" nr. 1 z r. 1929) oblicza ich liczbę do r. 1928 na 390 osób.

NAUKA I LITERATURA

LITERACKI „ODKRYWCA" ŚLĄSKA

ZE WSZYSTKICH dzielnic i ziem polskich terenem najpóźniej odkrytym i zdobytym dla literatury jest—Śląsk. Próbował zbliżyć się ku niemu A. Gruszecki w takich powieściach jak „Hutnik", „Krety" i t. p.; wypady literackie na Śląsk, szczególnie dawny, historyczny robi chętnie Kossak-Szczucka, potrąca również o ten teren swemi „Czarnemi skrzydłami" Kaden-Bandrowski. Jednak dopiero w Gustawie Morcinku, autorze świeżo wydanego zbioru pierwszych śląskich nowel p. t. „Serce za tamą" (Poznań 1930. Księg. św. Wojciecha) znalazł i Śląsk godnego siebie odkrywcę. I to ten Śląsk najciekawszy, a najmniej dotąd znany: Śląsk górniczy z „podziemnym światem" kopalń i piekłem huczących fabryk, Śląsk pracy, Śląsk ludowy, całem sercem przywiązany do macierzy Polski, od której go przed wiekami oderwano. G. Morcinek, sam z krwi i kości ślązak (z Karwiny rodem), długie lata w zawodzie górnika praktykujący, znający doskonale duszę ludu śląskiego, spoufalony z jego życiem, obyczajami, wierzeniami, mówiący jego przepiękną, krzepką mową, jak nikt inny był predysponowany do dokonania tego literackiego odkrycia

W nowelach swych z ujmującą prostotą i głębokiem przejęciem opowiada nam G. Morcinek o miłości ludu śląskiego ku Polsce, o cichem bohaterstwie długoletnich walk o prawo bycia Polakiem, o wytężonej pracy nad utrzymaniem i wyrobieniem w szerokich masach świadomości narodowej. Plon tej pracy oglądamy w samorzutnym, żywiołowym wybuchu w owe pamiętne dni listopada 1918 r, gdy stary piastowski Cieszyn dał wyraz swej wierności dla Polski, tysiącem głosów górniczego ludu stwierdzając łączność z braćmi z za kordonów oraz gotowość do walki o wolność i zjednoczenie. Opis tych chwil wypełnia najciekawsze, niemal wagi historycznego dokumentu, karty autobiograficznego opowiadania p. t. „Noc listopadowa“:

— „Na rynku cieszyńskim ludu coniemiara. Przyszli górnicy zawzięci z Karwinej i od Dąbrowej i z Łazów, ba nawet od Ostrawy, chłop w chłopa jak pieron, o twardych pięściach, złotych sercach... Przyszli i trzyńczanie. Chłopi na schwał. Groźnie pokrzykują i laskami tłuką o bruk cieszyński i raz w raz w dłonie popluwają... Przyszli i chłopi dolanie i górale z Istebnej i od Frydku. Chłopi jak buki... Spluwają na ziemię i ryczą: Precz z Austrją! Niech żyje Polska! Niech żyje polski Śląsk!... Do Polski chcemy należeć! Teraz będzie Polska i nasz Śląsk przy Polsce i zbyte“.

Za niedługo nadeszła chwila, kiedy lud śląski mógł czynem zadokumentować swą polskość, rozbrajając załogi austrjackie i walcząc ochotnie przeciw znienawidzonym „*zechmanom*“.

Te właśnie nowele, których treść zaczerpnął autor z dni historycznego przełomu, z czasów walk o wyswobodzenie Śląska, jak np. historja o „Długich nogach“ młodego żołnierza - ochotnika, Rudka Kukuzów, które mu dopomogły do wysadzenia mostu na Olzie wraz z czeską pancerką, albo opowieść „Jak to kapral Ćwiekała poszedł na wywiad“ na dworzec w Karwinej, zajęty przez Czechów, i jak tam „śląski pieron“ sprawił masakrę „djoblim kocendrom“ (Czechom), czy wreszcie wspomnienia Czerudy z trzeciego górnośląskiego powstania („Głupia maszyna“) należą do najlepszych i najciekawszych w zbiorze pozycyj obok opowiadań z życia barcerzy-górników w rodzaju „Serce za tamą“, „Wiara“, „Zgaszony płomyk“ i t. p. W tych nowelach górniczych wprowadza nas Morcinek w pełen tajemnicy i grozy „świat podziemny“ hawierni, opowiada nam z najdrobniejszemi szczegółami o przebiegu codziennej pracy w kopalni, o cichym heroizmie walki człowieczej z żywiołem, o straszliwych tragedjach pod powierzchnią ziemi się rozgrywających, o zarwanych stropach i zasypanych wraz z górnikami chodnikach, o zalanych wybuchem tajnych źródeł sztolniach, o „zepsutem powietrzu“ i piekle szalejących pożarów, o „zakrzyżowanych“ gankach, gdzie na każdym kroku śmierć okrutna się czai, wreszcie o dobrych duchach kopalni: górnośląskim Skarbniku i karwińskim Pusteckim, co to „stary, chruby, z brodą po pępek, a dobry jak pierón, nie da hawierzowi krzywdy zrobić“, a ukazanie się jego jest ostrzeżaniem przed grożącem niebezpieczeństwem.

Ale i górnik z mrocznych szybów wychodzi na światło dzienne, aby odetchąć po pracy, pogwarzyć z sąsiadami i zabawić się od święta. I o tej stronie życia górników nie zapomina Morcinek, prowadząc nas to do gospody na niedzielne zebranie, to na taneczną zabawę („W noc kwietniową“), to w obejście starego Gajdziory, co „o tę świętą ziemeczkę“ gotów walczyć do upadłego, nawet z komisją kolejową, wytyczającą trasę przez jego grunta. Z największą jednak dokładnością opisuje Morcinek wszelakiego rodzaju prace w kopalni, a więc pracę górników „na szychcie“, podawnemu „ze szramówką“, czy nowomodnie przy maszynie— wrębiarce, dalej pracę maszynistów, kopaczy, wozaczy, taczników i t. d. Te właśnie opowiadania, wolne zupełnie od elementu sztucznej literackości, przeważnie na bezpośrednich przeżyciach oparte, zalecają się swoją prostotą i siłą, plastyką obrazów i realizmem opisów. Przytem, pisząc o Śląsku i ślązakach, posługuje się Morcinek mową ludu śląskiego, krzepką, jędrną, bogatą w swoistem słownictwie i zatrącającą starodawnemi, piastowskiemi jeszcze wspomnieniami.

Wszystko to pozwala rokować nadzieję, że Morcinek wyrośnie z czasem na Homera śląskich „hawierzy“ i dzielnych „pieronów“, że się zdobędzie na wielkie epos, w którem nam dokładniej przedstawi życie „podziemnego świata“ kopalni. Spełnieniem tej nadziei zdaje się być napisana dla „Przewodnika Katolickiego“, górnicza powieść p. t. „Byli dwaj bracia“. W każdym razie cała dotychczasowa twórczość Morcinka dowodzi niepośledniego, oryginalnego talentu tego młodego pisarza, jednego z pierwszych w literaturze polskiej „odkrywców“ zapoznanego dotąd regjonu Śląska.

RAJMUND BERGEL

RUCH WYDAWNICZY

Ukazało się w handlu księgarskim (Gebethner i Wolff) dziesiąte wydanie znakomitego podręcznika „Historji literatury niepodległej Polski“ (965 — 1795) prof. Ignacego Chrzanowskiego (str. IX i 739). Użyteczność tego podręcznika jest tak wielka, że — jak się dowiadujemy od wydawców — dziesięć dotychczasowych wydań rozeszło się w 130.000 egzemplarzy. O tem powodzeniu dzieła zadecydowała jego wysoka wartość naukowa, a powtóre praktyczność. Jak wiadomo wykład w tym podręczniku połączony jest z wypisami. Ułatwia to niesłychanie młodzieży i nauczycielom naukę historji literatury, a pozatem czyni z tej książki podstawowy artykuł każdej domowej bibljoteczki. W ostatnim wydaniu autor dokonał wiele poprawek i uzupełnień, ale żeby nie poszerzać zbytnio książki, usunął z wypisów trochę tekstów, mianowicie z tych dzieł, które jego zdaniem każdy powinien mieć pod ręką w całości (np. Kochanowski). O ile wiemy, prof. Chrzanowski pracuje nad drugą częścią podręcznika, która obejmie również wielki tom, poświęcony dziejom literatury od rozbiorów do czasów ostatnich.

*

Trzy komedje Jerzego Szaniowskiego, „Adwokat i róże“, „Żeglarz“ i „Ptak“ zostały wydane drukiem przez Dom Książki Polskiej. Wszystkie wystawione były w warszawskich teatrach miejskich, odniosły sukces, a komedja „Adwokat i róże“ grana była na scenie Teatru Nowego bez przerwy przez cały sezon. Wspólną cechą tych komedyj jest suggestywność w przedstawieniu świata fikcyjnego, poetyczny wdzięk, artystyczny umiar djalogu i zręczność niedomówień. Wydanie w książce ułatwi ich rozpowszechnienie na scenach teatrów prowincjonalnych i amatorskich.

*

Ukazał się tom XII „Nauki polskiej“, wydawanej przez Kasę im. Mianowskiego. Zawiera on: materjały do spisu instytucyj i towarzystw naukowych w Polsce (Archiwa, Muzea, Towarzystwa i instytucje naukowe) (Warszawa, Pałac Staszica, 1930. Str. X i 359, cena 12 zł.). Tom ten jest uzupełnieniem wydanych przed trzema laty „Materjałów do spisu instytucyj i towarzystw naukowych w Polsce“ (w t. VII) Działy pierwsze, poświęcone wyliczeniu i opisowi archiwów, muzeów i bibljotek. Ostatni dział informuje o organizacji i celach towarzystw i instytucyj naukowych w Polsce, notuje zmiany, które zaszły w opisach podanych przed trzema laty.

„Nauka polska“ obiecuje w dalszych tomach podawać uzupełnienia. Inwentarz zbiorów tego rodzaju był bardzo potrzebny. Marzyło się o nim przed wojną. Daje on obraz zjednoczonej Polski na polu kultury historycznej. Powinno wychodzić stałe czasopismo, zbiorom poświęcone, z dążeniem do wytworzenia z tej masy jednostek jakiejś jednolitej całości żyjącej. Najmniej 1500 instytucyj i właścicieli abonowałoby takie pismo. Wytworzyć ono powinno jednolity typ katalogu, który w zeszytach możnaby drukować dla każdego zbioru na jego koszt, a z tego odbitki.

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

U Hachette’a pejawiła się ciekawa i pożyteczna książka Louis Reynaud’a p. t. „*La crise de notre littérature*“. Autor podzielił swą pracę o kryzysie literatury francuskiej na dwie części. W pierwszej p. t. „Od romantyzmu do dylentantyzmu“ analizuje autor działalność literacką Leconte de Lisle’a, Teofila Gautier, Flauberta, France’a i Zoli i dochodzi do wniosku, że w wielki romantyzm francuski wkradł się „pod-prąd“, który cechuje niechęć do burżuazji, brak za-

interesowania poważnemi kwestjami epoki, zamiłowanie do kpin z wszystkiego i wszystkich. Reynaud stara się dowieść, że wymienieni pisarze i im pokrewni,(Parnas, *Jeune-France*, naturalizm) zdegradowali literaturę do czczej, jałowej zabawy, i że wysoko zresztą wartościowy estetyzm Gautier'a i Flauberta nie wyniosły literatury do szczytów wielkiego piśmiennictwa narodowego.

Etap drugi (Od dyletantyzmu do arbitralności) stoi pod wpływem Schopenhauera, który wyparł Hegla i Comte'a, bawi się w „nie—i podświadomość", i kończy się na literaturze „czystego ja". Na kształtowanie się literatury tego okresu (po roku 1870) wpływa również silnie literatura angielska (Ruskin, Prerafaelici) i powieść rosyjska, z którą Francję zaznajomił Melchior do Voguë. Dyletantyzm staje się tylko subtelniejszy, literatura odgranicza się jeszcze arbitralniej od życia. Zdala od życia społeczeństwa i pracy narodu, literatura jałowieje, staje się coraz bardziej sztuczną. Bourgeta apel w „*Disciple*" nie zawrócił literatury z drogi zabawy. Wybujały indywidualizm, zrodzony z sceptycyzmu, przemienił moralne pojęcia tej warstwy społecznej, która tworzy literaturę. Ani poezja (Baudelaire, Mallarmé, Rimbaud, Verlaine, Valéry) ani proza (Gide, Proust) nie szukały kontaktu z narodem, nie czerpały natchnienia ze zbiorowego życia Fzancji. Więc w dalszym ciągu dyletantyzm.

Jeżeli nie nastąpi odrodzenie moralne, jeżeli nie wstąpi świeży idealizm w twórców literatury, jeżeli dalej trwać będzie kult „kapliczek", snobizm, kosmopolityzm — wtedy kryzys dalej trwać będzie. Autor wierzy jednak, że to odrodzenie moralne, zespolenie się literatury z życiem narodu nastąpi — i tem samem kryzys, trwający prawie lat 100, się skończy.

Praca Reynaud'a, mimo braków i niedociągnięć, mimo pewnych nasuwających się sprzeciwów i wątpliwości, stanowi jako pierwszy niemal bilans współczesnej literatury francuskiej, przez swój szlachetny i głęboki ton, poważną pozycję w historji piśmiennictwa francuskiego.

*

Nakładem *Libreria del Littorio* w Rzymie wyszła książka zatytułowana „*Esempi e Idee per l'Italiano Nuovo*", której autorem jest L a n d o F e r r e t t i, szef biura prasowego Prezesa Ministrów.

Książka jest właściwie zbiorem mów, wygłoszonych bądź w Izbie bądź z okazji pewnych rocznic lub inauguracyj faszystowskich instytucyj, nie jest więc dziełem jednolitem, lecz jego luźne części spaja od początku do końca jedna i ta sama idea Czy Ferretti mówi o poetach, (Dante, Ariosto), czy o świętych (Błog Giordano da Rivatto), czy o bohaterach narodowych, myślą jego przewodnią jest wskazanie tych wartości moralnych, umysłowych i wreszcie fizycznych, jakie każdy Włoch obecnie wyrabiać w sobie winien, by odpowiedzieć godnie ideałowi faszysty. Autor, który głęboko zrozumiał i ściśle stosuje w życiu swem maksymę: „*Libro e moschetto, fascista perfetto*" — był bowiem dzielnym żołnierzem i jednym z najpoważniej traktujących naukę studentów Ateneum w Pizie—nie zaniedbuje i obecnie ani studjów ani sportu. W ćwiczeniach fizycznych, uprawianych przez młodzież, począwszy od stowarzyszeń małych Balilla, Ferretti widzi szkołę urabiania charakterów przez przełamywanie woli ku świadomemu wytężeniu uwagi w precyzyjnem wykonywaniu pewnych ruchów, i w tem pojęciu broni sportu wobec tych, co zaprzeczają ćwiczeniom sportowym wszelkiej duchowej wartości w wychowaniu, przestrzega on jedynie przed tem, by ani sporty, ani do pewnego stopnia studja naukowe nie były celem same w sobie, bo celem życia winna być służba ojczyźnie.

SZTUKI PLASTYCZNE

IZBA ARCHITEKTONICZNA

OPINJA społeczna w sprawach grodownictwa jeszcze w Polsce nie istnieje. Dla ogółu warstw oświeconych dziedzina budownictwa miast jest niedostępna, niezrozumiała i obojętna. Odosobnione głosy, które tu i ówdzie tułają się na łamach prasy, uznać można za skromny zaczątek tworzenia się opinji w zakresie grodownictwa, ale w stosunku do potrzeb i tempa, jakie rozrost miast przybiera, to ziarno siewne żadnej jeszcze wagi nie posiada. Nie można jednak tak wielkiego działu życia pozostawiać na łasce biurokracji, ani ocenie rad miejskich, partyjnym kluczem dobieranych. Muszą one mieć nad sobą kogoś, pełnym autorytetem obdarzonego i na zaufaniu społecznem opartego, kto umiałby siłę opinji publicznej własnem zastąpić światłem i powagą. Z tych przeto względów powstaje konieczność stworzenia instytucji zawodowej, któraby obok zadań swojej pracy wewnętrznej chciała i mogła ująć moralny, opinjodawczy ster spraw grodowniczych.

Ponieważ właściwym ośrodkiem grodownictwa jest architektura, więc do stworzenia takiej instytucji z natury rzeczy powołani są architekci. Że zaś dotychczas dla siebie samych, dla swego zawodu nie mają jeszcze zrzeszenia o charakterze najwyższym, ogół spraw budowniczych skupiającym, przeto, łącząc obie tak ważne potrzeby, mogliby z wielkim dla kultury pożytkiem zakrzątnąć się i powołać do życia Izbę Architektoniczną, a przy niej, pod jej opieką—Wydział Grodowniczy. O zadaniach Izby Architektonicznej nie mam potrzeby tu mówić: dla każdego architekta są one widoczne — również, jak konieczność ich zogniskowania. Moim tu celem głównym jest omówienie tylko owej przybudówki izdebnej, która niech ma tymczasem nazwę Wydziału Grodowniczego. Byłaby ona, zresztą, nietylko luźną częścią, ale i podwładną w stosunku do Izby. Pewna jej luźność wyraziłaby się w tem jedynie, że do wydziału grodowniczego musieliby wchodzić przedstawiciele ogrodnictwa, inżynierji, rzeźbiarstwa i może jeszcze tego i owego zawodu, z grodownictwem bliską łączność mającego. Lecz ostateczną instancją odwoławczą dla wydziału byłaby Izba Architektoniczna i ona ponosiłaby całkowitą za wydział odpowiedzialność. Wobec czego będę w dalszym ciągu mówił tylko o Izbie, chociaż wyłącznie w sprawie grodownictwa.

Izba Architektoniczna byłaby w swojej dziedzinie czemś w rodzaju Akademji Umiejętności. Jej całkowita niezależność, bezinteresowność i wiedza zawodowa stanowiłyby rękojmię powagi jej uchwał, z któremi liczyłyby się władze gminne i państwowe. W krótkim czasie Izba zdobyłaby sobie pełne zaufanie społeczeństwa, przyczyniając się tem samem do rozumnego zajęcia się ogółu zaniedbanemi sprawami budownictwa i grodownictwa. Te jej cechy siłą rzeczy obdarzyłyby ją moralnem prawem wglądania we wszystkie w danym zakresie poczynania magistratów i ich rad artystycznych. Ukrócona byłaby wtedy samowola i zarozumiałość biurokracji. Mnóstwo odpowiednich spraw i projektów, z któremi różne stowarzyszenia i ludzie poszczególni nie wiedzą, co począć, lub załatwiają je „podomowemu", znalazłoby w Izbie godnego opiekuna, sędziego, lub kierownika. Jako niezależna i całość danej dziedziny ogarniająca, stałaby się Izba kuźnią praw i obyczajów grodowniczych, któreby nareszcie zmieniły wygląd i wartość miast polskich, dziko rosnących. Zbrojna wiedzą dalekowidzącą, Izba nie lekceważyłaby spraw, pozornie małych, a w gruncie rzeczy zasadniczych, ani też nie cofałyby się lękliwie przed sprawami, napozór olbrzymiemi, które trzeba zaraz rozstrzygnąć i rozpocząć, aby je czwarte pokolenie mogło ku swej radości ukończyć.

Dla unaocznienia wielkiej rozpiętości działań, które dziś, w braku Izby, z miejsca ruszyć nie mogą, weźmy w postaci przykładów dwie z dwóch krańców sprawy gradownicze, Warszawy dotyczące, jedną — najmniejszą z małych, i drugą — największą z wielkich: okno warszawskiej kamienicy i porzecze polskiej stolicy.

Niema dotychczas zakazu budowania okien otwieranych nazewnątrz, ani nakazu przerobienia już istniejących na otwierane do wnętrza mieszkań. Na sto kamienic w Warszawie dziewięćdziesiąt dziewięć posiada okna nazewnątrz otwierane, a te, co się w tej chwili budują również w tym samym stosunku procentowym hołdują przestarzałemu, barbarzyńskiemu zwyczajowi stolarzów i cieślów domorosłych. Jak daleko sięgają skutki tego przesądu naszych rzemieślników i tego niedbalstwa budowniczych, o tem już niejednokrotnie pisałem. Okna otwierane do wnętrza mieszkań dają korzyści następujące: 1-o ułatwiają ich mycie, 2-o zabezpieczają przy myciu od wypadków i upadków — nieraz

śmiertelnych, 3-o bezpieczne są podczas wichrów i burz, 4-o uszlachetniają wygląd budowli, 5-o umożliwiają hodowanie kwiatów w kwietnicach przedokiennych na powietrzu i słońcu, 6-o z powodu obecności kwietnic i kwiatów upiększają i uzdrawiają mieszkania, ulice i miasto, 7-o umożliwiają architektom projektowanie przeróżnych kształtów kwietnic, z samego muru wyprowadzanych, co dobroczynnie wpłynie na charakter i piękno całego lica kamienic od ulic i od podwórz. Wszystko to da się osiągnąć pod warunkiem jednego zakazu i jednego nakazu policyjnego. Na dobrowolne utarcie się nowego zwyczaju trzebaby czekać wieki, a że ten zwyczaj nowy chroni od tylu szkód niewątpliwych i daje tyle niewątpliwych korzyści, powinien być natychmiast w moc i przemoc prawa ubrany. Ale kto, gdzie i od kogo ma o ten nakaz się upominać? Kto i gdzie odpowiedni posłuch posiada? Gdyby istniała Izba Architektoniczna, można być pewnym, że sprawa w ciągu jednego miesiąca byłaby rozstrzygnięta i w czyn wprowadzona.

A teraz wielka sprawa — powiśle warszawskie. Małość i przyziemność pokolenia współczesnego i jego „czynników odpowiednich" cofnęła się trwożnie przed jedynie możliwem rozwiązaniem stołecznego powiśla tylko dlatego, że wykonanie planu na wielką skalę musiałoby potrwać pięćdziesiąt, a może i sto lat czasu. Mówię tu o zburzeniu fabryk i domów mieszkalnych wszerz od brzegów Wisły aż poza krawędzie płaskowzgórza, na którem leży Warszawa, a wzdłuż — od Bielan do Wilanowa, o czem w poprzednim szkicu (p.t. „Tandeta") na tem miejscu pisałem. Z powiśla stołecznego i jego zboczy wysokich należy uczynić istotne płuca Warszawy, wielokrotne *corso* parkowe, przerżnięte wzdłuż i wskos alejami jezdnemi, usiane boiskami, parkami, tarasami, wschodami monumentalnemi, pomnikami, a z gmachów — tylko nieodzownemi budynkami sportowemi, przystaniami, kawiarniami i tym podobnemi, dla wygody i zabaw służącemi zakładami. Analogiczny ciąg wybrzeża należy również zaprojektować dla Pragi, licząc się z tem, że i ona wkrótce przestanie być przedmieściem. W przewidywaniu szybkiego rozrostu Warszawy to rozwiązanie jej powiśla narzuca się, jako jedyne i konieczne. Ale kto, gdzie i od kogo ma upominać się o taki plan na przyszłość? Kto i kogo ma możność przekonania, że już dziś, natychmiast trzeba zacząć wprowadzanie w czyn tego planu przez policyjny zakaz budowania domów i fabryk na tym terenie? Przez stopniowe burzenie budowli, przez zadrzewianie, przez wykupywanie własności prywatnych i t. d.—? Gdyby istniała Izba Architektoniczna, sprawa odrazu mogłaby wziąć obrót dla przyszłości stolicy pomyślny.

W granicach tych dwóch zadań od najmniejszego do największego mieści się sto innych, które z powodu braku takiego autorytetu, jak Izba Architektoniczna, skazane są albo na niedołężne i połowiczne rozwiązania biurokratyczne, albo wręcz leżą odłogiem, powodując brzydotę, małostkowość i cudaczność stolicy państwa. Oto pierwszy z brzega przykład: przed przyszłym dworcem głównym, na projektowanym placu, ma podobno pozostać blok sześciu kamienic, stojących pomiędzy ulicą Chmielną a obecnym podjazdem do hali pociągów odchodzących. Pozostawienie tych sześciu kamienic zgruntu zepsuje cały zarys placu. Koszt ich wykupu i zburzenia stanowi zaledwie małą odsetkę ogromnych kosztów przebudowy całego węzła kolejowego. Ta niewczesna, a raczej bardzo po czasie powzięta oszczędność, zwaliłaby potrójny i poczwórny koszt na niedaleką przyszłość, albowiem plac, projektowany przy uwzględnieniu tych sześciu kamienic, musiałby być po ich zburzeniu na nowo przerabiany, a przy obecności tych kamienic musiałby stać się stałą, na samym wstępie rzucającą się w oczy przyjezdnym kompromitacją Warszawy. Kto i od kogo ma upominać się o oszczędzenie stolicy takiego wstydu i takich kosztów w przyszłości? Gdyby istniała Izba Architektoniczna, byłoby *forum*, którego głos i w najzaciszniejszym gabinecie ministrów znalazłby posłuch należny.

Istnieje w Warszawie dużo do tej podobnych spraw pilnych, na które ten i ów mieszkaniec stolicy i obywatel państwa patrzy z troską, zgrozą i bezradnością. Bo co ma począć? Pisać dla druku? Któż to przeczyta, kto pod uwagę weźmie? Taki sam bezradny obywatel, jak i ów piszący. Może podania i memoranda układać i składać? Komu i z jakich praw? To, zresztą, grozi tylko opinją bzika nieszkodliwego. Poruszać „sprężyny"? Gdzie? W materacu własnej otomany? Niema sposobu, bo niema opinji publicznej, a niema opinji, bo niema autorytetu widnego, nie będzie zaś autorytetu, dopóki nie powstanie Izba Architektoniczna. Ona jedna, gromadząc w sobie i dokoła siebie zawodowców i związki odpowiednie, architektów, inżynierów, techników, ogrodników artystów, hygjenistów, sportowców, mogłaby natychmiast rozpocząć akcję ratowniczą od zabrzydzania stolicy, oraz działalność opinjodawczą i twórczą. Prasa, w nielicznych swych wyjątkach zresztą, może sobie w dalszym ciągu ciskać na wiatr ziarna grodownicze, na jakie ją stać, może tam co padnie na glebę rodzajną, i jaki jeden — drugi kiełek kłosa wyzerknie, ale to niemal beznadziejna robota. Przynajmniej na początek, byłoby ze strony prasy najmniej pustynnym czynem wołanie o Izbę Architektoniczną. A i ten jeszcze głos, nawet zbiorowy, będzie miał do przebicia całe puszcze liściaste znaków zapytania i całe bory iglaste wykrzykników zdumienia.

STANISŁAW PIEŃKOWSKI

ZMARLI

ŚP. WACŁAW SZYMANOWSKI

ZMARŁ w Warszawie słynny malarz i rzeźbiarz śp. Wacław Szymanowski, syn poety i b. redaktora „Kurjera Warszawskiego", również Wacława. Urodził się w r. 1859 w Warszawie i tu się kształcił. Studja artystyczne prowadził w Paryżu pod opieką Cyprjana Godebskiego i w Monachjum. Zasłynął jako malarz. W pełni powodzenia, po tryptyku „Modlitwa", zeszedł z pola malarstwa i oddał się rzeźbie. W r. 1890 wystawiał w wiedeńskiej Secesji 4 rzeźby. Jego dłuta jest sarkofag Słowackiego w kościele Krzemieckim, medal ku czci Mickiewicza, słynny projekt pochodu historycznych postaci na Wawel, pomnik Szopena w Warszawie. Był dobrym literatem, pisywał krytyki. Temperament literacki kierował też jego pomysłami w rzeźbie.

NOWE KSIĄŻKI

Bergel Rajmund. — Morze polskie i Gdańsk w literaturze polskiej. Myślenice 1930. Odbitka ze Sprawozdania gimnazjum w Myślenicach za r. 1929/30.

Giertych Jędrzej. O kierunek wychowania dziewcząt. Poznań 1930. S. 12. (odbitka ze „Strażnicy Harc".).

Hajkowski Zygmunt. O jednej pieśni Jana Kochanowskiego. Lwów 1930. S. 3. (Odbitka z „Pam. liter".).

Wasylewski Stan. Na końcu języka. Poznań 1930. Wydaw. Polskie (L. Wegner) S. 299.

Bartkiewicz Zygmunt. Trzy opowieści. Warsz. 1930. Dom Książki Pol.

Brończyk Kazimierz. Rejtan. Dramat w 3 aktach. Lwów 1930. Ossolineum.

Kalinka W. ks. Na Golgocie. Warsz. 1930. Kronika Rodzinna.

Godlewski Fran. Wśród znieważonych bogów. Z podróży na Wschód. Warsz. 1930. Dom Książki Pol. (2 ilustr.).

Witwicki Wład. prof. Psychologja do użytku słuchaczów Wyż. Szkół. Tom I. Wyd. II. Lwów 1830. Ossolineum.

Powszechna Wystawa Krajowa w Poznaniu r. 1929. Dzieło zbiorowe. Pod kierownictwem dr. Stan Wachowiaka. Tom I. Poznań 1930. P. W. K. Str. 590 in. fol. (ilustr., mapy).

Ruch Literacki, nr. 6, czerwiec.

Ruch Słowiański. Lwów 1930, nr. 6.

Walka z bolszewizmem. Warsz. Zesz. 30.

OFENSYWA

SHAW A GALSWORTHY

KILKA miesięcy temu zaopatrzono poetę Lechonia w większy zapas propagandowej gotówki i wysłano do Londynu, aby „osobiście" na zlot Pen-Clubu zaprosił autora „Wielkiego Kramu", wedle iluzyj i aluzyj sanatorskich intelektualistów, fanatycznego wielbiciela naszego domowego Cromwella. Groteska sytuacji polegała głównie na tem, że poeta Lechoń żadnym cudzoziemskim językiem nie włada, no, i że do dyskursów z intelektem tak interesującym i błyskotliwym, jak sędziwy miljoner-socjalista, niecałkiem się nie kwalifikuje. Aczkolwiek całe przedsięwzięcie przygotował jako tako Florjan Szary Sobieniowski oraz londyńskie agenty Bauer - Czarnowski, Litauer i t. p., to jednakże recepcja i wizyta wypadły bardzo żałośnie. Twórca świetnej figury „Józia Proteusza" w „Wielkim Kramie" wykręcił się kilku dowcipami i shawizmami, poklepał po plecach ekipę literacką polską, poprosił żonę, żeby młodych Słowian poczęstowała herbatą, poczem cofnął się do swoich apartamentów i wrócił do pisania historycznego dramatu o Cromwellu. Nie trzeba bowiem zatajać, że dziś 74-letni satyryk, sarkasta i sofista istotnie na stare lata stał się wielbicielem jedynowładztwa, wrogiem parlamentaryzmu i co się zowie antydemokratą, nie do tego jednakże stopnia, żeby znowu padał w proch kultu przed każdą parodją Bonapartyzmu. Odmową Shawa tak się zmartwił poeta Lechoń, że nawet sam w warszawskim zlocie Pen-Clubów nie uczestniczył i nań nie przyjechał.

Nie przyjechał też wypróbowany, stały, serdeczny przyjaciel polskości G. K. Chesterton, gdyż do Pen-Clubu londyńskiego nie należy. Przyjechał natomiast istotnie świetny pisarz Galsworthy.

Obecnie prasa przyjazna idei Pen-Clubów podaje kolejno pokłosie różnych głosów zagranicznych literatów, którzy bawili w Warszawie. Trzeba przyznać, że są bardzo ciepłe, niekiedy entuzjastyczne, z małym atoli wyjątkiem, który w rzeczywistości jest jednak wielkim i ważnym wyjątkiem. Zdał bowiem sprawę ze swoich wrażeń także i największy tuz zjazdowy i jedyna sława europejska, światowa t. j. sam Galsworthy. Zdał sprawę też gorąco i sympatycznie, ale w tygodniku „*Observer*", redagowanym politycznie przez wrogiego nam zawsze Garwina. Tu dajemy głos „Kurjerowi Porannemu", a więc dziennikowi entuzjazmującemu się i instytucją Pen-Clubów i socjalnemi poglądami Galsworthy'ego:

> „Niestety na końcu artykułu są ślady, że nawet podczas zjazdu Pen-Clubu operowała na naszych gościach propaganda niemiecka, której niedostatecznie przeciwdziałano. Zaznacza bowiem Gaalsworthy, że zarówno w Polsce, jak i w Niemczech słyszy się, iż kwestja polskiego korytarza jest aktualna i dodaje: Dla laika wydaje się wskazanem rozwiązaniem zneutralizowanie korytarza. Podobno jednak, ani polska, ani niemiecka opinja nie chcą takiego rozwiązania. Uspokojenie opinji przez zlikwidowanie tego problematu wydaje się bardziej konieczne od wielu innych spraw, zajmujących mężów stanu Europy".

Niestety tak pisał istotnie. Niemiecka prasa z dziką radością pochwyciła te frazesy przygodne znakomitego angielskiego beletrysty. W rezultacie definitywnym cała wizyta penclubowa zaszkodziła raczej naszym interesom państwowym. Ale ostatecznie nie można było tego przewidzieć, że prezes Pen-Clubów zajmie się też politycznemi kwestjami.

Znacznie mogłoby być gorzej, gdyby był przyjechał do nas G. B. Shaw. Ten bowiem zbyt intensywnie zajmuje się wszelkimi problemami politycznymi, a równocześnie zbyt głęboko podlega wszystkim germańskim i judo-germańskim suggestjom. Ten dopiero byłby nas ubrał przy tej swojej całej anarchicznej i kapryśnej swobodzie wypowiadania się i kokietowania epatującemi i olśniewającemi paradoksami i sofizmatami djalektycznemi. Raczej dobrze się stało, że G. B. Shaw został w Londynie i nie uległ urokowi poety Lechonia, konwersującego z nim na migi i przez starozakonnych tłumaczów. Nie trzeba bowiem zatajać, że G. B. Shaw, podobnie zresztą jak Wells, uważa nas w całości za megalomanów, imperjalistów, militarystów, annektystów, naród zaborczy, wojowniczy, awanturniczy, zdolny i gotów do wszelkich hec i hazardów. Świadczy o tem wybitnie specjalna przedmowa-prolog, jaki napisał we wrześniu r. 1928, do polskiego wydania „Cezara i Kleopatry", co oczywiście tłumaczył Florjan Szary Sobieniowski. W prologu tym egipski bóg „Ra", patrząc „wyniośle, pogardliwie na nowoczesną publiczność polską", gada jej srogie impertynencje i objekcje. Oto garść wyjątków z tego:

> „Zamilczcie i posłuch mi dajcie, synowie niepoprawni narodu ongiś wielkiego. Nakłońcie uszu waszych mężowie, których pierś słoni szmat papieru białego i pustego, jakoby na znak niewinności i ubóstwa ducha waszego. Posłuch mi dajcie niewiasty, strojne w szaty powabów pełne i ponęt, co myśli swoje ukrywacie przed mężami waszymi, wiodąc ich do mniemania, że widzicie w nich mocarzy przedziwnych i władnych, choć w głębi serc waszych uważacie ich za dzieci nieporadne".

Albo:

> „Nie łudźcie się bowiem, potomkowie marni i mizerni, że świat od was się począł. Piramidy bowiem, dłońmi ludu mojego wzniesione, stoją po dziś dzień, one zaś stosy prochu marnego, nad których budową mozolicie się jak raby niewolne, nazywając je mocarstwami, rozsypują się za lada podmuchem, szczególnie w chwilach, gdy z ciał poległych synów waszych wznosicie stosy nowe, przysparzając jeno prochu znikomego.
>
> Wszystko to ujrzycie i zdumiewać się będziecie zwyczajem nieuków, że dwadzieścia wieków temu byli ludzie tacy sami jak wy, którzy żyli i mówili jako wy żyjecie i mówicie, nie gorzej i nie lepiej, nie mądrzej i nie głupiej.
>
> A teraz pozwólcie, że was pożegnam, bo nie dostrzegam w was nic szczególnego i może szkoda dla was tych słów budujących. Wiedzcie też, że nie mówiłbym tak wiele, gdyby nie leżało w przyrodzeniu Boga walczyć wiekuiście z prochem i ciemnością i dobywać z nich mocą swej tęsknoty za boskością więcej życia i więcej światła".

Jak widzimy z tego bóg egipski „Ra" czyli G. B. Shaw traktuje polskie społeczeństwo nietylko „wyniośle i pogardliwie", ale i niesłusznie, niesprawiedliwie i w ten sposób jakby „bóg egipski Ra" dużo czytywał prawicowej prasy niemieckiej a lewicowej francuskiej i angielskiej...

Byłoby więc bardzo niebezpieczną i ryzykowną rzeczą mieć w tych czasach (po ewakuacji Nadrenji) takiego gościa w Warszawie, tak mocno i nieuleczalnie przesiąkniętego niemiecką „*Weltanschaung*" i niemieckim „*Standpunktem*" politycznym. Ze swoją eruptywnością i weredycznością byłby G. B. Shaw nie wytrzymał i palnął coś *à propos „corridora"*, że niech Pan Bóg strzeże i uchowa.

Może dla poety Lechonia to zmartwienie i zgryzota. My raczej powinniśmy się z tego cieszyć, gdyż „wyładunek" mógł być ogromnie fatalny.

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

Pan Estreicher, red. „Czasu", w dzienniku swoim pisze szeroko o ś. p. Wł. L. Jaworskim jako polityku, który „w latach 1908 — 1914 podjął walkę z programem wszechpolskim i starał się bronić programu austrofilskiego": „Z walk o byt Legjonów, z nadludzkich mąk o ich dotrzymanie aż do czasu kongresu, z całej tej wielkiej wojny, wyszedł Jaworski złamanym na zdrowiu starcem. Pod wielu względami jednak zwyciężył (?). Niepodległość Polska była i jest w wielkiej części owocem jego trudów, mąk i walk"...

Z tego, co wypisują dotąd w „Czasie" *oesterreich*'iści, mogłoby się wydawać, że w tej wojnie zwyciężyła Austrja i jej hołdownicy dyktowali granice Polski. Fałszują historję, aby się nie przyznać, że orjentacja masonerji była płytka i błędna dla Polski. Jaworski wyszedł z wojny złamany nie tylko „na zdrowiu"; załamał się duchowo. Jako człowiek głębiej czujący, przebył dramat, z którego wyjście znalazł osobiście na drodze pracy religijnej i mistycyzmu. Oddał krajowi swoją wiedzę naukową, ale duszy dla polityki już nie miał. Zrozumiał, że zbankrutował. Austrji już na drodze niema, ale pozostała zła, organizowana inspiracja. Przed nią pod koniec życia przestrzegał społeczeństwo. Dosyć przeczytać, co pisał w książce „Confiteor", wydanej w związku z Kongresem Eucharystycznym.

*

Doszło do tego, że publicyści obcy (Bainville) zapytują naszego ministra spraw zagranicznych, co znaczy jego „flegmatyczna wzgarda" wobec uroszczeń niemieckich do Pomorza. Pytaliśmy się jeszcze w czasie wojny p. Zaleskiego, dlaczego współdziała z tymi, którzy flegmatycznie gardzą Pomorzem i Wielkopolską. Ten grymas nie schodzi z jego ust. Niech się temu dziwią ci, co dotąd utrzymują, że germanofile wywalczyli Polsce niepodległość, ci którzy teraz coraz śmielej głos podnoszą, że front bojowy Polski jest na wschodzie, a od Niemiec nic nam nie grozi.

Dosyć pytań i zdziwień. Trzeba stawiać latarnie, skoro noc ciemna, a w ciemnościach czai się zła wola. Zapalmy nad morzem naszem latarnię wielką, aby widziano, jaka jest wola narodu. Cały kraj pokryjmy latarniami, — niech będzie widno! Burza się zbliża do naszego brzegu.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 25-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel 12-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Tel. 19-57. Zielna 47. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.